

JAK NAS DRENUJĄ

JUŻ 80 MILIARDÓW ZŁOTYCH WYPŁYWA
ROCZNIE Z POLSKI ZA GRANICĘ.
KOGO TO OBCHODZI?

W numerze:**Renta neokolonialna, czyli ile jeszcze Polak zapłaci**

Bartłomiej Radziejewski. 3

Koszmary rachunek za bezmyślną prywatyzację

Z prof. Jerzym Żyżyńskim rozmawia Aleksandra Rybińska. 9

Wysysani z kapitału

Z prof. Andrzejem Kaźmierczakiem rozmawia Michał Kuź 14

Czy koncert mocarstw uchroni nas przed III wojną światową?

Jacek Bartosiak 18

Kto zarobi na ustawie o petycjach?

Piotr Trudnowski 26

Konserwatysta przeciwko narodowym mistyfikacjom

Krzysztof Wołodźko. 31

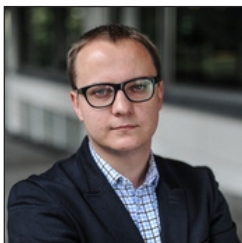
Budżety obywatelskie mało obywatelskie

Stefan Sękowski. 37

Bezpieczni od wszelkiego zamętu

Przemysław Skrzydelski 41

Renta neokolonialna, czyli ile jeszcze Polak zapłaci



BARTŁOMIEJ RADZIEJEWSKI

Redaktor naczelny „Nowej Konfederacji”

Tylko w zeszłym roku legalny drenaż Polski z kapitału wyniósł blisko 82 mld zł, równowartość 5 proc. PKB. To rekord ćwierćwiecza. Jednak, wszystko na to wskazuje, zostanie on szybko pobity.

Żyjemy w ekonomicznym matriksie. Polskie spory o wydatki na służbę zdrowia, edukację czy wojsko są śmiesznie groszowe na tle problemu notorycznie nieanalizowanego i niedyskutowanego, jakim jest drenaż kraju z kapitału przez zagraniczne firmy. Tylko w zeszłym roku wyniósł on blisko 82 mld zł, równowartość 5 proc. PKB. To rekord ćwierćwiecza. Jednak, wszystko na to wskazuje, zostanie on szybko pobity.

Ta kwota to więcej niż łączny budżet Ministerstwa Zdrowia i NFZ oraz dwa i pół razy tyle, ile budżet MON. Gdyby nie ten gigantyczny wpływ pieniędzy (pozwólmy sobie na odrobinę alternatywnej historii), Polska rozwijałaby się w zeszłym roku w oszałamiającym tempie 6,6 proc. PKB. A każdy z nas miałby w kieszeni średnio o 2 126 zł więcej.

Jeśli ktoś nadal skłonny jest twierdzić, że to mało, niech zauważy, że w ciągu 10 lat ów drenaż (saldo dochodów z inwestycji w bilansie płatniczym) wzrósł radykalnie nie tylko kwotowo – z 14 do

82 mld zł, ale i procentowo – z 1,7 proc. ówczesnego PKB do 5 proc. dzisiejszego (prawie dwa razy wyższego). Sprawa jest więc, by się tak wyrazić, wybitnie anty-rozwojowa.

Nieznośna banalność eksploatacji

Te horrendalne sumy są niczym innym jak, że pozwolę sobie na pewną innowację pojęciową, rentą neokolonialną. Skutkiem grabieżczej prywatyzacji, przypominającej jako żywo łupienie indiańskich „miast ze złota” przez europejskich konkwistadorów, w trakcie której najlepsze polskie firmy sprzedano za bezcen lub łaskawie pozwolono zniszczyć w nierównej konkurencji. W efekcie mamy sytuację, w której właścicielami 83 proc. największych „naszych” spółek są obcokrajowcy (dane na 2011). A ponieważ – inaczej niż w bajkach dla grzecznych prowincjuszy – kapitał ma narodowość, właściciele ci wyciskają swoje nadwiślańskie filie jak cytryny. Z biegiem czasu, jak widać, coraz mocniej.

Podczas gdy w epoce kolonialnej imperia takie jak brytyjskie eksportowały kapitał do podbitych krajów (rekompensując to sobie rzecz jasna choćby tanim importem surowców), w naszych, neokolonialnych czasach, relacja między centrum a peryferiami jest odwrotna. Te ostatnie cieszą się (lub martwią) nieopodległością, niejako w zamian zasilając bogatsze od siebie metropolie gęstym strumieniem pieniądza. Historia przyniosła więc ewidentny, skokowy wręcz postęp: dzisiejsze mocarstwa nie tylko nie ponoszą odpowiedzialności ani kosztów zapewnienia krajom kolonizowanym porządku i dobrobytu, ale jeszcze wysysają je z wytwarzanego z ich walnym udziałem kapitału, zamiast im ten kapitał dostarczać. Niech żyją innowacje!

Coraz bardziej porażające i dojmujące ilości pieniądza, jakie na mocy eksploatacji neokolonialnej wyciekają z Polski, stawiają pod znakiem zapytania nie tylko bilans polityki gospodarczej ostatniego ćwierćwiecza, lecz także bilans naszej obecności w Unii Europejskiej

W tym sensie drenaż Polski z pieniędzy nie jest niczym wyjątkowym. Coroczna wielomiliardowa renta kolonialna to banalny los każdej współczesnej peryferii. Nie chodzi oczywiście o peryferię

we wciąż używanym, XIX-wiecznym rozumieniu tego słowa, jako miejsca geograficznie odległego od centrum, ale – na gruncie teorii zależności i teorii systemów-światów – o kraj zdominowany przez jedno lub więcej państw centrum i od niego (lub od nich) uzależniony.

Ta banalność może usypiać, jednak nie powinna pocieszać. Tym bardziej że jest coraz gorsza. O ile w latach 2001–2003 zostaliśmy wydrenowani z kwoty 6 mld euro, to w następnych trzech latach było to już 29 mld, a w ostatnich trzech: 56 mld. Oglądane obok siebie w jednej tabelce (musiałem sam ją na potrzeby tego tekstu sporządzić) te liczby robią wrażenie niemal lawinowego wzrostu. Na razie jakoś to wysysanie wytrzymujemy, ale gdzie jest granica?

Jak pańszczyźniani

Zwłaszcza że powyższym liczbom daleko do oddania pełnego sprawozdania z sytuacji. Tajemnicą poliszynela jest powszechnie stosowany przez polskie spółki córki drenaż ukryty, wykorzystujący elastyczność tzw. cen transferowych. Nie mogąc wysłać legalnie do centrali tyle, ile by się chciało, sprzedaje się jej wytwarzane na miejscu produkty po zaniżonych cenach, a kupuje od niej po zawyżonych. Regulacje ochronne są tu dość łatwe do obejścia, a wina – bardzo trudna do udowodnienia. Bo jak fiskus ma wykazać, że dana ekspertyza czy koncepcja nie miała „szczególnego znaczenia dla rozwoju polskiego rynku”, i w związku z tym nie była warta, dajmy na to, dziesięć razy więcej niż podobne dzieła na rynku?

W ten sposób – to jeden z niewielu udokumentowanych przypadków – olsztyński Stomil wyprowadził swego czasu z Polski prawie 200 mln zł na rzecz

swojego francuskiego inwestora strategicznego Michelina. Podobne praktyki zarzucano m.in. Philipsowi i Siemensowi. Przykłady można by mnożyć.

Finalny skutek jest taki, że zagraniczne firmy – im większe, tym bardziej – na wiele sprytnych, nielegalnych sposobów, nieustannie wyprowadzają po cichu z Polski pieniądze. Przy okazji zaniżając swoje zyski (lub zgoła wykazując straty). Dodatkowo, nie płacą więc nad Wisłą podatków (albo płacą minimalne), bo jakoby nie mają z czego.

Skala procederu jest oczywiście niemożliwa do dokładnego policzenia. Pewną, cząstkową jego miarą może być gwałtowny skok wielkości pozycji bilansu płatniczego zwanej „saldem błędów i opuszczeń”. Wraz z wybuchem kryzysu w 2008 r. następuje oto wzrost jego ujemnej wartości w stosunku do roku poprzedniego o, bagatela, ponad 20 mld zł, po czym (z wyjątkiem roku 2012) stabilizuje się on na poziomie co najmniej –26 do –31 mld zł rocznie. Dlaczego „co najmniej”? Bazuję na ostrożniejszych szacunkach. Liczone według innej metody dochodzi to saldo nawet do –45 mld zł.

Gwałtowny wzrost ilości pieniądza znikającego w niewyjaśnionych okolicznościach prawdopodobnie potwierdza dobrze znany w literaturze przedmiotu mechanizm: w czasach kryzysu drenaż peryferii się wzmacnia. Kiedy w metropolii zaczyna brakować kasy, wyciska się ją z parobków, tak jak szlachta polska zwiększała w XVII w. wymiar pańszczyzny wraz ze spadkiem cen zboża. Polsce i innym peryferiom przypada rzecz jasna w międzynarodowym podziale pracy los eksploatowanych chłopów pańszczyźnianych. Skądinąd ten mechanizm wyjaśniałby też poniekąd wzrost legalnego drenażu, o którym była mowa wcześniej.

Znaczące milczenie

Jednak do pełnego obrazu sytuacji wciąż nam bardzo daleko. Można by jednak pokusić się przynajmniej o szacunki. Nade wszystko skala problemu coraz wyraźniej urastającego do rangi głównej blokady dalszego rozwoju Polski sprawia, że powinien to być temat nieustannej, ogólnonarodowej debaty. Tymczasem: cisza.

Gdzie analizy na ten temat autorstwa czołowych polskich ekonomistów, w tonie wszechwiedzących mędrców perorujących o „dokańczaniu prywatyzacji” i „doganianiu krajów najwyżej rozwiniętych”? Dlaczego milczą w tej sprawie bohaterscy tropiciele niedostatków „wolnego rynku”: prof. Leszek Balcerowicz, prof. Witold Orłowski, Waldemar Kuczyński oraz ich świadomi i nieświadomi naśladowcy z większych i mniejszych środowisk i ośrodków? Dlaczego nie słyhać w tej sprawie „gospodarczej prawicy” tak chętnie broniącej pod hasłami wolnorynkowymi centralnie zaplanowanego oligopolu (zagranicznych w większości) funduszy emerytalnych – OFE? Czyżby wszyscy ci aktorzy nie zauważali, że setki miliardów złotych, które na mocy opisywanych mechanizmów wypłynęły z Polski, i kolejne setki, które wypłyną w najbliższych latach, to problem o tyle większy od KRUS czy emerytalnych przywilejów górników, o których tak chętnie, mówią, że – nie wchodząc w tym miejscu w meritum – redukujący te ostatnie niemal do rangi błahostek?

Po ćwierćwieczu takiej, a nie innej debaty można chyba zacząć sądzić, że to niezmordowane omijanie tematów kluczowych jest nieprzypadkowe. Mogąc je obserwować, Pierre Bourdieu nazwałby je pewnie przemocą symboliczną. Ma ona miejsce wtedy, gdy grupy dominujące wytwarzają takie systemy znaczeń, w których

rzeczywisty układ sił, będący podstawą ich dominacji, jest szczelnie ukryty pod pozorem sprawiedliwego ładu i dzięki temu powszechnie odbierany jako prawomocny. Z kolei grupy poddane dominacji, a tym samym skazane na odtwarzanie swojego niskiego statusu, postrzegają ten stan rzeczy jako naturalny. Dopóki zaś tak jest, nie są w stanie wygenerować ani alternatywnego języka opisu rzeczywistości, ani tym bardziej alternatywnego programu działania. Mówiąc inaczej, przemoc symboliczna jest tym skuteczniejsza, im bardziej jest ukryta.

Były i są od tej reguły milczenia chwalebne wyjątki w osobach m.in. prof. Jerzego Żyżyńskiego, prof. Andrzeja Kaźmierczaka, prof. Tadeusza Kowalika, prof. Kazimierza Poznańskiego, prof. Leokadii Oręziak, a także nieekonomistów: m.in. prof. Witolda Kieżuna i prof. Jadwigi Staniszkis. Jednak ich głosy miały przez lata status wołań na puszczy.

W tym świetle milczenie najbardziej wpływowych środowisk i autorytetów ekonomicznych na temat neokolonialnej renty jawiłoby się jako logiczna funkcja nadwiślańskiego układu interesów po 1989 r. realnie premiującego zagraniczny kapitał, kosztem rodzimego. Taka sama jest rola bajkowych mantr wspomnianych osób i środowisk o „dążeniu do wolnego rynku” i „doganianiu Zachodu”. W kontekście – zaprojektowanej „planem Balcerowicza” (będącym tak naprawdę jedynie uszczegółowieniem planu Sachsa) i wdrożonej „reformą gospodarczą” u progu transformacji trwałej zależności kapitałowej, własnościowej, technologicznej od krajów centrum, są to oczywiste eksportowe fikcje, mające skłaniać peryferyjną ludność tubylczą i jej kompradorskich liderów do jednostronnego otwierania granic, znoszenia ceł, sprzedawania najlepszych firm

za „symboliczne złotówki”. Taka była funkcja tych narracji, gdy dokonywała się grabieżcza prywatyzacja. Dziś, kiedy już się dokonała – skutecznie zaciemniają one istotę jej i ustanowionego w jej wyniku porządku. Oraz bronią jej architektów i wykonawców przed odpowiedzialnością za ciemną część ich dorobku.

Wielomiliardowa renta neokolonialna jest ceną za przynależność do świata zachodniego

Ale ten medal ma też drugą stronę. Przełamywanie tego milczenia, nagłaśnianie faktu drenażu i jego skutków urasta do rangi obywatelskiego i narodowego obowiązku. Niniejszym, na miarę skromnych możliwości, staramy się w „Nowej Konfederacji” z niego wywiązać. Ma to również jasny wymiar praktyczny: im bardziej tę przemoc symboliczną zdemaskujemy, tym mniej będzie ona skuteczna.

Wątpliwe korzyści

Tymczasem coraz bardziej porażające i dojmujące ilości pieniądza, jakie na mocy eksploatacji neokolonialnej wyciekają z Polski, stawiają pod znakiem zapytania nie tylko bilans polityki gospodarczej ostatniego ćwierćwiecza, lecz także bilans naszej obecności w Unii Europejskiej. W tegorocznym, opiewającym korzyści z dziesięciu lat członkostwa raporcie (ze względu na wyraźnie apologetyczny charakter trudno go podejrzewać o zaniżanie wskaźników) Ministerstwo Spraw Zagranicznych podało, że łączne korzyści z członkostwa w UE (a nie same tylko

fundusze unijne!) zwiększyły polski wzrost PKB średnio o 0,7 pkt proc. rocznie. Słownie: siedem dziesiątych punktu procentowego! „W konsekwencji skumulowane PKB dla całego okresu członkostwa byłoby prawie o 620 mld zł mniejsze (co odpowiada ponad 1/3 PKB faktycznie wytworzonego w 2013)” – można przeczytać.

Aby uzyskać pełny obraz sytuacji, zespół wysokiej klasy specjalistów powinien jednak uwzględnić w takim bilansie jeszcze parę „drobiazgów”. Najbardziej interesującą w niniejszym kontekście to transfer w latach 2004–2013 dochodów z inwestycji za granicę na łączną kwotę, bagatela, 144 mld euro. Oczywiście, nawet poza UE Polska nadal byłaby neokolonią. Jednak w trzech poprzedzających akcesję latach ów drenaż wynosił średnio 2 mld euro rocznie. Po wejściu do „lepszego świata” wzrósł w następnych trzech latach do prawie 10 mld euro rocznie. Przypadek? Nie sądzę.

Do tego należałoby oczywiście doliczyć ogólne koszty dostosowań do polityki unijnej, w tym ogromną cenę pakietu klimatycznego, długofalowy rachunek za upadek polskich stoczni, limity produkcyjne, utratę swobody w polityce handlowej i celnej itd. Nie bez kozery byłoby się zastanowić, o ile mniejsza bez wejścia do UE byłaby najnowsza polska emigracja. Należałoby też uwzględnić koszty wydatkowania powodujących podwyższenie wzrostu PKB o owe oszałamiające 0,7 pkt proc. środków unijnych, trudnej do policzenia sumy wkładów własnych do niepotrzebnych lub zgoła absurdalnych inwestycji, rozrostu biurokracji, wzrostu obrotów korupcyjnych. To jednak temat na osobną historię.

Do zrobienia takiego bilansu też nie bardzo widać chętnych. A już z pobieżnego oglądu widać, że nieustannie powtarzane

propagandowe twierdzenia o bezdyskusyjnych korzyściach z „powrotu do Europy” są nader wątpliwe.

Dylematy ambitnego pariasa

Niezależnie od tego systemowe kontury bilansu zysków i strat w omawianym kontekście są coraz wyraźniej widoczne. Wielomiliardowa renta neokolonialna jest ceną za przynależność do świata zachodniego. Zostaliśmy do niego po 1989 r. wpuszczeni nie jako równoprawny gracz, ale jako państwo buforowe oraz peryferyjny rynek zbytu i podwykonawca. Możemy co nieco uszczknąć z jego dobrobytu, wysokiej konsumpcji i techniki. Musimy jednak zaakceptować swoją podrzędność. I – jak widać, coraz większy – drenaż z wytwarzanego nad Wisłą kapitału.

To nie jest najgorsza sytuacja. Przynależność do świata zachodniego ma fundamentalne zalety. Ale czy rola pariasów tego świata nam odpowiada? Czy satysfakcjonują nas niższe od obcokrajowców na tych samych stanowiskach płace i wolniejsze awanse, we własnym kraju? Do tego: ile jeszcze miliardów rocznie jesteśmy skłonni i zdolni w ramach renty neokolonialnej oddać?

Moim zdaniem stać nas na dużo więcej. Antidotum na opisaną tu sytuację jest jasne: to repolonizacja gospodarki. Gdyby jednak przybrała postać gwałtowną, mogłaby sprowokować równie gwałtowną reakcję tych, w których interesy z konieczności by uderzała. Czasami, w rzadkich w historii momentach otwarcia na oścież „okna możliwości”, takie skoki się udają. Częściej jednak nie, co znamy z XVIII w., kiedy rewolucyjny zapal rodzimych reformatorów ściągnął na nas prewencyjną egzekucję w postaci II i III rozbioru.

W dzisiejszej tak turbulentnej sytuacji geopolitycznej, z niepewnością wyznaczaną przez wyczerpywanie się dotychczasowego ładu światowego i przygotowania do stworzenia nowego, jednocześnie wszystko jest możliwe, ale też w szczególności należy uważać na najczarniejsze scenariusze, obejmujące dalszą degradację naszego kraju. Mamy obecnie pewną przestrzeń do odzyskiwania kontroli nad własną gospodarką – i państwem – metodą małych kroków. I nawet marne rządy ostatnich lat mogą się tu pochwalić pewnymi sukcesami, jak odparcie próby wrogiego przejęcia PZU przez Eureka, częściowa repolonizacja banków czy przycięcie OFE.

Powinniśmy być jednocześnie gotowi kontynuować metodę małych kroków,

a jeśli nadarzy się okazja: przyspieszyć, a może nawet – skoczyć. Który z tych sposobów jest najlepszy, okaże się dopiero za jakiś czas.

Dane liczbowe dotyczące drenażu Polski z kapitału to cytaty lub obliczenia własne na podstawie następujących dokumentów NBP:

Bilans płatniczy RP: dane roczne 2004–2014

Bilans płatniczy RP: dane roczne 1994–2013

Bilans płatniczy RP za IV kwartał 2005

Bilans płatniczy RP za IV kwartał 2009

Bilans płatniczy RP za IV kwartał 2011

Bilans płatniczy RP za IV kwartał 2013

Koszmarny rachunek za bezmyślną prywatyzację

Z prof. Jerzym Żyżyńskim
rozmawia Aleksandra Rybińska



JERZY ŻYŻYŃSKI

Profesor ekonomii, wykładowca Uniwersytetu Warszawskiego

Skala drenażu Polski z kapitału od początku transformacji, zsumowana, dałaby może i połowę obecnej wartości PKB.

Zagraniczne firmy wyprowadzają z Polski co roku dziesiątki miliardów złotych. Jak drenaż kapitału wpływa na bogactwo narodowe?

Nie wszyscy zdają sobie sprawę z tego, że jest coś takiego jak Produkt Narodowy Brutto (PNB), który różni się tym od PKB, że dolicza się do niego tzw. transfery zagraniczne. Chodzi tu o wynagrodzenia i zyski, a nie o efekty przepływów związanych z handlem zagranicznym (dochody z eksportu i wydatki na import). Transfery mogą być dodatnie, wtedy kraj zarabia na zagranicy, jak np. Niemcy, albo ujemne – wówczas kraj traci na rzecz zagranicy. U nas są ujemne. Jeśli te transfery są spore, m.in. w sytuacji gdy firmy przekazują swoje dochody do banków za granicą, to PNB jest zasadniczo niższy od PKB.

Warto jednak zauważyć, że przed 2004 r. transferowano rocznie za granicę 6–12 mld zł, ale od czasu akcesji transfery

te gwałtownie wzrosły, więc po wejściu do Unii, licząc netto – tracimy. Gdyby nie to, bylibyśmy teraz przynajmniej o jedną trzecią bogatsi, bo te pieniądze pracowałyby w polskiej gospodarce. W ubiegłym roku PNB był niższy od PKB o jakieś 70 mld zł. To oznacza automatycznie, że o wiele większy stał się nasz deficyt budżetowy, bo podatki od tych pieniędzy nie wpłynęły do naszego, ale innych budżetów. A to niebagatelna suma. Tracimy na tym 4–5 proc. PKB rocznie.

Dlaczego po wejściu do UE drenaż wzrósł tak radykalnie? Czy to nie jest wyrotowy argument przeciwko członkostwu Polski w Unii?

Pamiętajmy, że Unia Europejska opiera się na czterech podstawowych swobodach przepływów: towarów, usług, kapitału i pracy – to miał być podstawowy efekt integracji – swoboda przemieszczania się

między krajami. Ale nie ma swobody produkcji – ta jest reglamentowana, ograniczana, nie tylko przez biurokrację unijną, która wprowadza w niektórych dziedzinach różne ograniczenia, lecz także w wyniku przejść i kontroli kapitałowej. Integracja spowodowała zatem wzrost ujemnego salda dochodów w rachunku bieżącym bilansu płatniczego już od pierwszego roku integracji.

Jeśli przyjrzymy się transferom dochodów w bilansach płatniczych od roku 2000 do 2006, to wynosiły one kolejno w mld zł: –3,2; –2,4; –4,3; –9,6; –30,0; –21,6; –30,0 i dalej rosło to aż do 74 mld w 2012 i 69 mld w 2013 r. Mamy zatem w pierwszym roku integracji (2004) skok ponadtrzykrotny z 9,6 do 30 mld zł.

Ale trzeba pamiętać, że ogólnie bilans płatniczy był dodatni w wyniku napływu inwestycji zagranicznych odzwierciedlonych w części finansowej bilansu – cały bilans ujemny był tylko w 2001 i 2008 r., poza tymi latami miał na plusie od kilku do blisko 45 mld w 2009 i 2010 r.; prawie 37 w 2012, ale tylko 3 mld zł w 2013 r. To dawało wzrost rezerw, trzeba jednak pamiętać, że te rezerwy zwiększyły się w wyniku napływu inwestycji zagranicznych – to zatem taka iluzja, bo to nie nasze pieniądze, mogą być w każdej chwili wycofane.

Z kolei różnica między PNB a PKB, czyli szerzej ujęte saldo transferu dochodów w latach 2000 do 2006 wyniosło kolejno: –5,9; –4,7; –6,1; –40,7; –32,4; –41,4 mld zł, czyli mamy w 2004 r. skok prawie czterokrotny; w roku 2012 to –72,5 mld zł. I pamiętajmy, że to wszystko salda, czyli ostateczna różnica między tym, co wpłynęło, a tym, co wypłynęło. Tak więc twierdzenia o wielkich korzyściach z integracji są w świetle liczb dość problematyczne, to bardziej propaganda.

Ale też trzeba przyznać, że są inne korzyści, ludzie bardzo cenią sobie swobodę przepływów osób, czujemy się bardziej częścią świata zachodniego, do którego zawsze tęskniliśmy. Chcemy być częścią Europy, a nie Azji – i ja również jestem za tym.

Dlaczego tak kolosalne sumy wyciekają z Polski? To cena, którą przychodzi nam płacić za wejście do elitarnego klubu państw kapitalistycznych?

Twierdzenia o wielkich korzyściach z integracji

Polski z UE są w świetle liczb dość problematyczne.

To bardziej propaganda

To przede wszystkim cena, którą płacimy za bezmyślną prywatyzację oddającą znaczną część naszego majątku przemysłowego podmiotom zagranicznym, a to przecież w pewnym stopniu konsekwencja integracji z Zachodem i wejścia do Unii. I konsekwencja zarówno ignorancji, bezmyślności, jak i korupcji. Ta integracja to oczywiście właściwy kierunek, ale zabrakło kontroli nad skutkami niektórych procesów, zabrakło nie tylko wiedzy i zrozumienia podstaw ekonomii, lecz i takiej zwykłej patriotycznej dbałości o majątek narodowy oraz zwykłej roztropnej mądrości. Kulturowano za to niemądrą koncepcję inwestora strategicznego – przyjdą dobrzy kapitaliści i będą ze swej dobrośliwości i podziwu dla Polaków, którzy obalili komunizm, rozwijali naszą gospodarkę; głupio opowiadano, że kapitał jakoby nie ma narodowości, że najlepiej, gdy oddamy go w prywatne ręce, byle

jakie, byle prywatne. A tak w ogóle to najlepiej dać go byle komu, nawet zachodnim koncernom państwowym, byle oddać. I mamy nieuchronne skutki – ten kapitał po prostu zabiera swoje dywidendy i wypłaca sobie wynagrodzenia ze swojego. Ma do tego prawo.

Niektórzy uważają, z Leszkiem Balcerowiczem na czele, że tylko w ten sposób dało się zrealizować „skok cywilizacyjny” i szybki dobrobyt...

Szybki dobrobyt? Ci ludzie, którzy przeprowadzili u nas transformację, mieli kiepskie wykształcenie ekonomiczne. Balcerowicz, Janusz Lewandowski – uczyli się ekonomii w ludowej ojczyźnie, podobnie zresztą jak ja. I wcale nie twierdzę, że byłem wtedy, w latach 90., tak mądry, jak jestem dziś. Ale mimo to rozumiałem to, co się dookoła dzieje, na tyle, że ostrzegałem wówczas przed taką formą prywatyzacji. Sam miałem lepsze pomysły, nie byłem jednak w stanie się przebić ze swoim przekazem. Szanse przebicia mieli tylko ci, którzy mieli poglądy wygodne dla tych, którzy mieli wówczas moc decyzyjną.

Słuchałem niedawno w TOK FM ze-nującej rozmowy między Leszkiem Balcerowiczem, Andrzejem Koźmińskim, Januszem Jankowiakiem i Danielem Pasentem. Padło tam takie zdanie: „Polacy nie mieli kapitału, więc należało wszystko sprzedać podmiotom zagranicznym”. Jak to nie mieli kapitału? To zwyczajne kłamstwo. Albo niezrozumienie, co to kapitał.

Polacy mieli kapitał. W 1990 r. mieli np. spore oszczędności. Te oszczędności zostały zdewaluowane przez Balcerowicza. Gdy państwo wycofało się z dotowania cen, te zaczęły rosnać. Nastąpiła tzw. hiperinflacja – ale to była inflacja korekcyjna,

dostosowawcza, nowe ukształtowanie cen. Jednak nasze oszczędności, ta forma kapitału, nie zostały wówczas zwaloryzowane, dostosowane do nowych warunków – a to się powinno było zrobić, gdyby się rozumiało, o co w tej całej transformacji chodzi. W efekcie jeśli ktoś miał zaoszczędzone na samochód, po roku okazywało się, że wystarczy mu już tylko na jedno koło. Ludzie stracili oszczędności, a to było coś, co mogło ruszyć kapitał w sensie finansowym. Kapitał to zresztą słowo wieloznaczne, w podstawowym znaczeniu to jest to, co służy produkcji, aktywności gospodarczej. Podstawą jest kapitał rzeczowy, budynki, maszyny, fabryki etc., którego ogólna wartość w gospodarce zazwyczaj przewyższa kapitał finansowy odłożony w formie oszczędności w bankach. Ale kapitał w formie rzeczowej posiadaliśmy. Chodzi m.in. o sprywatyzowane zakłady produkcyjne, banki, firmy telekomunikacyjne czy przedsiębiorstwa ciepłownicze. Wystarczyło kilka głupich decyzji ludzi niekompetentnych i staliśmy się ponownie krajem kolonialnym. Bez jednego wystrzału wielka część naszego majątku narodowego została przejęta i zlikwidowana przez podmioty zewnętrzne. Staliśmy się rezerwuarem taniej siły roboczej dla innych.

Ostatnio wycieki za granicę z naszej gospodarki jednak nieco zmalały. W każdym razie w bilansie płatniczym...

[śmiech] Tak, zdarzył się cud nad bilansem płatniczym. Bilans płatniczy składa się z trzech części: z rachunku bieżącego, rachunku kapitałowego oraz rachunku finansowego. Natomiast to, co jest w rachunku bieżącym szczególnie ciekawe, to zasadniczo salda importu i eksportu to-

warów i usług oraz transferów dochodów i tzw. transferów bieżących. Bardzo ciekawą pozycją są transfery dochodów – zyski, dywidendy, płace. W ostatnich latach w tej części rachunku bieżącego było saldo ujemne w wysokości ok. 70 mld zł. To mniej więcej tyle, ile wynika z różnicy między PKB a PNB.

I nagle nastąpił cud. Ściągnąłem sobie najaktualniejszą wersję bilansu płatniczego. Dotychczas były tam bilanse płatnicze od 1995 r. do obecnego, aktualnego roku. I zniknęła część sprzed 2010 r. Są już tylko do wglądu lata 2010–2013. W tych latach zaś ta część bilansu płatniczego dotycząca dochodów została podzielona na dwie części: dochody pierwotne i dochody wtórne. Nie ma opisu, o co chodzi. Nagle z –70 mld zrobiło się –50-kilka mld zł. I kilkanaście miliardów wyparowało. Nie wiem, jak to nazwać. Bo i co się oto okazało: jak mi wytłumaczyła na komisji sejmowej prof. Elżbieta Chojna-Duch, połączono tę pozycję z czwartą pozycją rachunku bieżącego – tzw. transferami bieżącymi, które były dodatnie, w efekcie przykre wrażenie wycieku czy wydojenia z Polski 70 mld zł niewątpliwie zostało złagodzone. Ale to jest kreatywna księgowość. A te wpływające dochody nie powinny być ukrywane, bo to bardzo ważna informacja o skutkach polityki gospodarczej okresu transformacji i o całej koncepcji transformacji.

Mówiliśmy do tej pory o drenażu legalnym i – o ile nie jest ukrywany – oficjalnym. Jednak to tylko jedna strona medalu. Drugą jest drenaż nielegalny, ukryty. Tajemnicą poliszynela jest wyprawianie przez zagraniczne firmy pieniędzy z Polski poprzez m.in. za-

wyżone ceny różnych usług doradczych od firmy matki, wycenionych wielokrotnie drożej, niż są warte. Jaka jest skala tego zjawiska?

Trzeba dodać usługi reklamowe, wiele firm reklamowych to firmy zagraniczne, powiązane z firmami zlecającymi reklamy. Doradztwo, tzw. know-how, opłaty za znaki towarowe, za pewne elementy produktów sprowadzane z kraju macierzystego – jak nakrętki do butelek czy guziki do ubrań. Ale jaka jest skala zjawiska – trudno ocenić, różnica między PNB a PKB to najbardziej podstawowa miara tego zjawiska, lecz w dużej części to transfer legalny.

Wystarczyło kilka głupich decyzji ludzi niekompetentnych i staliśmy się ponownie krajem kolonialnym

Czy da się określić sumę wydrenowanych z Polski środków przez ostatnie 25 lat? O ile realna wielkość dochodu narodowego jest mniejsza od oficjalnej?

To, co się dzieje poza sferą obserwowalną, jak np. to, co wykryto w czasie afery FOZZ, wymagałoby wybitnych specjalistów, którzy by to wysłedzili – takim był np. Michał Falzmann – nie jesteśmy w stanie tego dokładnie ocenić. Moim zdaniem skala drenażu od początku transformacji, zsumowana, dałaby może i połowę obecnej wartości PKB.

Pytanie o drogę wyjścia: czy powinniśmy podążać tą samą drogą co Węgry? A może prowadzić cichą, stopniową repolonizację kluczowych sektorów?

Jestem za tą drugą propozycją. Trzeba stopniowo odzyskiwać i odbudowywać gospodarkę, innej drogi nie ma. Ale trzeba być stanowczym. I trzeba sobie jasno powiedzieć: jeśli chcemy odzyskać i odbu-

dować gospodarkę zniszczoną przez lata bezmyślnie realizowanej transformacji i rabunkowych prywatyzacji, to czeka nas ciężka praca. Trzeba zakasać rękawy i odbudować gospodarkę, a w ludziach poczucie patriotyzmu, szacunku dla tego, co nasze. Jednak teraz już wiemy z całą pewnością, że ta ekipa tego nie zrobi, bo ona robi wszystko, by konserwować ten stan rzeczy i tuszować prawdę.



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Redaktor „Nowej Konfederacji”,
publicystka wPolityce.pl

Wysysani z kapitału

Z prof. Andrzejem Kaźmierczakiem
rozmawia Michał Kuź



ANDRZEJ KAŹMIERCZAK

Profesor ekonomii,
członek Rady Polityki Pieniężnej

**Przyjęliśmy ekstensywny model rozwoju oparty na eksploatacji kurczą-
cych się zasobów. Oznacza to, że obecnie możemy konkurować głównie
płacowo i jest to konkurencja raczej mało perspektywiczna.**

Jaka część zysków zagranicznych firm w Polsce jest wyprowadzana za gra- nicę?

Firmy zagraniczne przeciętnie wyprowadzają z Polski mniej więcej połowę swoich zysków. W teorii, naturalnie, zagraniczne oszczędności ulokowane w Polsce mają sprzyjać naszemu rozwojowi. I początkowo te inwestycje istotnie uruchamiają pewne ożywienie gospodarcze. Długofalowo, po zainwestowaniu zagranica oczekuje jednak rosnących zysków, a więc w długim okresie odpływ kapitału się zwiększa. W efekcie jest wątpliwe, czy długoterminowo takie inwestycje są korzystne dla kraju przyjmującego.

Zatem PKB nas oszukuje? Jak ma się jego wzrost do realnego rozwoju Pol- skiej gospodarki i poprawy warunków życiowych?

PKB jako miara rozwoju gospodarczego jest rzeczywiście wskaźnikiem ułomnym. Nie uwzględnia on bowiem struktury bogactwa i przeciętnej jakości życia. Wzrostowi PKB nie przeszkadza, jeśli człowiek pracuje od świtu do zmierzchu i zarabia tylko tyle, by odtworzyć swoje siły biologiczne. PKB nie mówi też nic o tym, jaki udział w wypracowaniu zysków ma kapitał zagraniczny.

Lepszą miarą środków, którymi faktycznie dysponuje dany kraj, jest Produkt Narodowy Brutto (PNB), czyli wartość dóbr i usług do podziału dla obywateli danego kraju i mających w nim siedzibę firm. W PNB wlicza się więc zagraniczne inwestycje, których właścicielami są polscy obywatele lub osoby prawne. Nie wlicza się natomiast zysków, które podmioty zagraniczne uzyskują z inwestycji w Polsce. Precyzyjnie rzecz ujmując, PNB uwzględnia saldo dochodowe z zagranicznych wy-

nagrodzeń i zagranicznych dochodów z własności. Jeżeli to saldo jest dodatnie, to obywatele Polski mają więcej do podziału aniżeli wytworzony PKB. Jeżeli jest ujemne, to dochód do podziału jest mniejszy od wytworzonego PKB.

Dlatego jeśli wziąć pod uwagę PBN w Polsce, to okazuje się, że w 2013 r. mieliśmy do podziału o 4,7 proc. mniej dochodu (przy uwzględnieniu rynkowych cen dóbr i usług), niż wytworzyliśmy, w 2012 – 3,3 proc., a w 2011 r. – 3,5 proc. Co jest oczywiście rzeczą naganną i bulwersującą.

Czy w świetle tego odpływu kapitału mit Polski jako „zielonej wyspy” upada?

Nasz PNB jest znacznie niższy niż PKB. Najmocniej obniżają go dochody zagranicznego kapitału z inwestycji. Informuje nas to, że zagranica uzyskuje znacznie większy dochód z tytułu ulokowanych w Polsce oszczędności niż Polacy lokujący swoje oszczędności za granicą. Na przykład w 2013 r. z tytułu zysków z inwestycji wyprowadzono z Polski 81, 826 mld zł, w roku 2012 78, 420 mld zł, a w 2011 r. 76, 536 mld zł.

Pojawia się naturalnie pytanie, w wyniku jakich konkretnie inwestycji uzyskano te pieniądze. Otóż w 2013 r. podmioty zagraniczne miały inwestycje ulokowane w Polsce w wysokości 196 mld zł. W formie zakupu papierów dłużnych 126 mld zł, a resztę w formie pozostałych inwestycji. Wspomniane niemal 82 mld zł to więc głównie dywidendy lub odsetki od papierów dłużnych, depozytów i udzielonych kredytów.

Aby faktycznie rozruszać naszą gospodarkę, pozytywny efekt inwestycji powinien być znacznie mocniejszy i do-

prowadzić do silniejszego wzrostu gospodarczego, wzrostu poziomu dobrobytu i ilości oszczędności tu w Polsce. Nasza gospodarka nie potrafi jednak w tej chwili zrównoważyć odpływu kapitału za granicę. Okazuje się bowiem, że obecnie wzrost dzięki bezpośrednim inwestycjom zagranicznym jest raczej słaby. Zresztą nasz rozwój i tak jest generowany w dużym stopniu przez środki unijne, a nie inwestycje bezpośrednie.

W 2013 r. z tytułu zysków z inwestycji wyprowadzono z Polski 81,826 mld zł

Podważa pan utartą mądrość, że inwestycje zagraniczne zawsze powodują wzrost. Dlaczego w przypadku Polski jest inaczej?

Po pierwsze to, co wlicza się w inwestycje, dziś przede wszystkim finansuje nasz deficyt budżetowy (inwestycje portfelowe). Jeśli zaś chodzi o inwestycje bezpośrednie, to powiem wprost, że polegają one często na wykupie polskich przedsiębiorstw, a nie na tzw. green field investments, czyli tworzeniu nowych miejsc pracy od podstaw. Mówi się też o wykupowaniu przedsiębiorstw za zaniżoną cenę.

Czyli wracamy do tez o patologjach polskiej transformacji autorstwa prof. Witolda Kieżuna.

Naturalnie, sam mogę podać liczne przykłady to ilustrujące. Są jednak również pozytywne przykłady wspomnianych i pożądanых green field investments, jak

choćby fabryka opon w Olsztynie czy też zapowiadana budowa zakładu Volkswagena pod Poznaniem.

No tak, ale sam pan sugeruje, że to te łatwe, by nie powiedzieć patologiczne, inwestycje przeważają.

To niestety prawda. Weźmy chociażby International Paper w Kwidzynie. Przecież to była wspaniała, nowa polska fabryka. Sprzedano ją jednak bardzo tanio. Teraz ten zakład się rozwija i przynosi długofalowe profity, tylko że nie Polsce. To taki mniej znany przykład. Wszyscy natomiast pamiętają zupełnie już kuriozalną prywatyzację banku PKO SA, który sprzedano jednorazowo za równowartość jego cztero-, pięcioletniego zysku. A tymczasem to bank, który długofalowo generuje wielkie zyski, zyski, które już teraz wielokrotnie przekroczyły cenę, jaką zapłacili nowi udziałowcy. Nikt się nie zastanawiał, jak wieloletnie zyski pozytywnie wpływają na wartość przedsiębiorstwa. Teraz są więc one transferowane za granicę.

Czy Polska wpada powoli w pułapkę kraju peryferyjnego, który, dopóki mógł, nęcił inwestorów tanią siłą roboczą, nie wytworzył jednak rodzimej, kreatywnej gospodarki opartej na rozwoju własnych technologii? A teraz w miarę jak wyczerpują się zasoby ludzkie i materiałowe, kraj ów czeka gospodarcza katastrofa.

Niestety wszystko wskazuje na to, że przyjęliśmy ekstensywny model rozwoju oparty na eksploatacji kurczących się zasobów. Oznacza to, że obecnie możemy konkurować głównie płacowo, i jest to konkurencja raczej mało perspektywiczna. Utrwała się u nas struktura wzrostu pra-

cochłonnego i mało innowacyjnego. W początkowej fazie pewnego skoku gospodarczego niskie wynagrodzenia mogą oczywiście mieć pozytywny wpływ na wzrost gospodarczy, ale zakładanie, że będziemy wiecznie konkurować płacowo, jest drogą donikąd.

Nasza gospodarka nie potrafi zrównoważyć odpływu kapitału za granicę

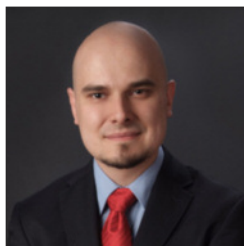
Poza tym taki model wzrostu gospodarczego powoduje, że z Polski odpływają ręce do pracy. Jeśli wynagrodzenia są w Polsce wciąż niskie, to nasi obywatele będą się wynosić za granicę w poszukiwaniu lepiej płatnych posad. Co zresztą się dzieje ze wszystkimi negatywnymi tego procesu skutkami. W perspektywie mamy zapaść demograficzną i załamanie funduszy emerytalnych, bo przecież ci ludzie już nie pracują dla przyszłych pokoleń Polaków. Przyjęta przez nas struktura wzrostu gospodarczego jest więc jak najbardziej błędna. Na razie innej jednak nie wymyśliliśmy.

Ratujemy się ulgami w specjalnych strefach ekonomicznych, ale to przyciąga kapitał, tylko dopóki ulgi podatkowe obowiązują. W ogóle nie mamy dziś spójnej koncepcji rozwoju gospodarczego. Stawiamy na to, że niewidzialna ręka rynku wszystko rozwiąże, że jakoś się to samo ułoży. Poddajemy się biernie wydarzeniom.

A gdyby miał pan nagle zostać drugim Grabskim i opracować nową koncepcję rozwoju dla Polski, to od czego by pan zaczął?

Przed wszystkim oszczędłbym od branży energochłonnych. Niepotrzebnie rozbudowaliśmy np. przemysł chemiczny, który pożera masę energii i zużywa i tak ubogie zasoby surowcowe. Na pewno trzeba jednak postawić na duże inwestycje współfinansowane przez państwo. Inwestycje, które tworzyłyby także korzystne warunki dla wzrostu sektora prywatnego. Długofalowo z takich przedsięwzięć, po poniesieniu ryzyka w fazie realizacji, państwo by się jednak wycofywało. Tak właśnie robiono w II RP. Inwestowano np. w produkcję energii, tutaj zresztą nadal mamy kolosalne zaległości. Nie zaniedbywano jednak również inwestycji produkcyjnych takich jak stocznie. Dziś można by podobne projekty realizować choćby poprzez tzw. fundusze inwestycyjne zamknięte. Przypomnę, że fundusze inwestycyjne to takie instytucje wspólnego inwestowania, w których udziałowcy inwestorzy są określani i stabilni. W funduszu zamkniętym mogą uczestniczyć tylko określone podmioty. Ich skład nie podlega fluktuacjom, tak jak to jest w przypadku funduszy otwartych. Ważne też, aby były to inwestycje, które nie tylko przyniosą powiększenie PKB, lecz także trwały wzrost miejsc pracy. Jeżeli bowiem budujemy autostradę, to dajemy ludziom pracę jedynie w okresie jej budowy.

Czyli autostrady, orliki i stadiony odpadają?



MICHAŁ KUŹ

Redaktor „Nowej Konfederacji”

Na pewno są ważniejsze priorytety. Uważam, że te środki unijne, które mieliśmy do dyspozycji w pierwszej perspektywie budżetowej, nie zostały dobrze wykorzystane. Moim zdaniem mogłyby one z powodzeniem dać Polsce wzrost rzędu 5 proc., a nie raptem 1 proc., i to z wciąż wysokim bezrobociem.

Z tym że Unia jest sprytna i nie pozwala na pompowanie swoich funduszy w duże projekty współfinansowane przez państwo czy też otaczanie parasolem ochronnym własnych stoczni i zakładów produkcyjnych. Powiedziałbym, że środki unijne są tak wymyślane, aby stymulować PNB raczej w Niemczech i we Francji niż w Polsce.

No tak, UE chciałaby, aby para szła w gwizdek. To, jak wykorzystuje się fundusze, jest jednak w dużym stopniu decyzją polityczną samych przyjmujących je krajów. To pewna przepychanka. Z góry trzeba zakładać opór unijnych potęg i równocześnie zrobić wszystko, aby jednak postawić na swoim, użyć wszystkich dostępnych instrumentów. W Unii wielu państwom udało się przecież liczne przedsięwzięcia obronić, gwiżdżąc przy tym na zakazy i nakazy Brukseli. No ale jeśli my jesteśmy bierni i godzimy się np. na likwidację Stoczni Szczecińskiej, to sami stawiamy się na straconej pozycji. Z kolei argumentacja, że się nie da, jest, delikatnie mówiąc, wątpliwa.

Czy koncert mocarstw uchroni nas przed III wojną światową?



JACEK BARTOSIAK

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”

Bezwzględnie należy się zastanowić, jak zapobiec czarnemu scenariuszowi rozwoju rywalizacji amerykańsko-chińskiej. Dobrą odpowiedzią może być nowy ład azjatycki oparty na sprawdzonej formule koncertu mocarstw.

„Wszystkie państwa pragną pokoju, ale pragną pokoju, który promuje ich interesy” – admirał Jacky Fisher, twórca nowoczesnej Royal Navy, przed wybuchem I wojny światowej

Stany Zjednoczone i Chiny są najbogatszymi i najsilniejszymi państwami na świecie. Ich gospodarki i interesy są wzajemnie bardzo mocno powiązane. Oba kraje mają przemożny wpływ na globalną gospodarkę, której są najważniejszymi elementami. Jednak dalszy wzrost bogactwa i potęgi Chin zmusza do postawienia fundamentalnego pytania: co dalej? Co dokładnie oznaczać to będzie dla świata? Czy Chiny i USA staną się wrogami, czy będą może współpracować?

Rosnące napięcie

Historia uczy niestety, że konkurencja do hegemonii gospodarczej zawsze przeradza się w rywalizację strategiczną, a ta bardzo często w wojnę o dominację. Jedynym sposobem na uniknięcie niebezpiecznej

i eskalującej rywalizacji może być ograniczenie części własnych ambicji przez mocarstwo wschodzące (Chiny) przy jednoczesnym udzieleniu mu stosownych koncesji w aktualnym systemie przez mocarstwo słabnące (USA). Takie elastyczne podejście do kwestii wzrostu Chin i ich roli w świecie musiałoby wymagać stworzenia zupełnie nowej architektury bezpieczeństwa i współpracy w Azji. Taki nowy ład, aby odzwierciedlał zmieniający się układ sił i miał szansę na przetrwanie, musiałby wyglądać jak koncert mocarstw, model znany nam z historii Europy po 1815 r. Tak właśnie zdefiniował problem słynny na świecie (w Polsce nieznan) australijski politolog i strateg prof. Hugh White w książce „The China Choice”.

Do realizacji takiego scenariusza wciąż daleko, ponieważ ciągle pewni siebie Amerykanie nie chcą się dzielić posiadaną władzą nad instytucjami globalnymi oraz mechanizmami dającymi im supremację w Azji i na Zachodnim Pacyfiku. W ogóle trudno znaleźć Amerykanów, którzy byliby zdania, że muszą cokolwiek dawać Chiń-

czykom, czy też takich, którzy sobie wyobrażają, iż Stany miałyby ustąpić pola na rzecz Państwa Środka. Chińczycy natomiast wolą poczekać z rozstrzygnięciami, aż w przyszłości staną się znacznie silniejsi od USA i jednym ciosem zamienią istniejący układ (najlepiej bez zawsze ryzykownej wojny) na dużo bardziej korzystny dla siebie i swoich interesów.

Największymi zwolennikami ustanowienia systemu koncertu mocarstw są średnie i małe państwa w Azji oraz Australia, które znalazły się w sytuacji nie do pozazdroszczenia i są przerażone perspektywą bycia zakładnikami hegemonicznej rywalizacji chińsko-amerykańskiej. Taka rywalizacja, nasilając się, miałaby fatalny wpływ na rozwój gospodarczy regionu, przede wszystkim zaś zmuszałaby państwa Azji i Pacyfiku do dokonania wyboru pomiędzy Chinami a USA. A co za tym idzie, do wyboru niepewnego, obciążonego wielkim ryzykiem obstawienia przyszłego, przegranego losu.

Presja czasu

Mało kto rozumie, że tego wyboru Amerykanie muszą dokonać niebawem. Już wkrótce Chińczycy będą bowiem zbyt silni. Waszyngton ma trzy opcje. Albo zrezygnuje z prymatu w Azji, albo będzie się starać zachować status quo ze swoją dominującą rolą. Albo też stworzy nowy ład oparty na koncercie mocarstw, ustępując częściowo na rzecz Chin.

Niestety tylko kilku analityków i strategów w USA rozważa opcję pierwszą, właściwie wszyscy inni drugą, a nikt trzeciej. Tymczasem rywalizacja z Chinami się nasila, obie strony nie ufają sobie zarówno w kwestiach bezpieczeństwa, jak i gospodarczych, co wpycha oba mocarstwa w pułapkę poszukiwania przewag swoich

i eksploatacji słabości drugiego. Amerykanie dokonują pivotu do Azji, implementując klasyczną politykę powstrzymywania i okrążania Chin. W siłach zbrojnych wdrażają koncepcję wojny powietrzno-morskiej wymierzoną w Chiny i jej wojskowe zdolności asymetryczne. Chińczycy wdrażają w swoich siłach zbrojnych koncepcję „sznuru pereł” (string of pearls, przesuwanie granicy wpływów w oparciu o wyspy na wodach przybrzeżnych), z sukcesami testują amerykańskie gwarancje dla państw w regionie Morza Południowo-Chińskiego. Oraz balansują w oparciu o Rosję przeciw USA co najmniej w zakresie polityki surowcowej, pokazując, że nie są zależni od blokady morskiej, jak chcieliby Amerykanie kontrolujący morskie szlaki transportowe do i z Chin.

Wybór, przed którym stoi dziś Ameryka, jest chyba najtrudniejszym w jej mocarstwowej historii

Realistyczna wydaje się ocena, że ani USA, ani Chiny w ciągu najbliższych kilku dekad nie będą na tyle silne, by podporządkować sobie cały region. A próba dominacji podjęta przez jedno z tych państw przyniesie chaos, koszty gospodarcze i dramatycznie zwiększy ryzyko wojny o hegemonię. Tymczasem bezzwłocznie należy się zastanowić, jak zapobiec czarnemu scenariuszowi. I właśnie nowy ład azjatycki oparty na sprawdzonej formule koncertu mocarstw może być dobrą odpowiedzią.

Wybór, przed którym stoi dziś Ameryka, jest chyba najtrudniejszym w jej mocarstwowej historii. Sytuacja jest bezprecedensowa. Od lat 80. XIX w. USA

cieszyły się największym dochodem narodowym na świecie. Żaden z ich konkurentów w XX w.: Niemcy, Japonia, Związek Sowiecki, nie mógł się z nimi równać gospodarczo. Dziś Chiny według Międzynarodowego Funduszu Walutowego stały się największą gospodarką świata, wyprzedzając amerykańską według kryterium parytetu siły nabywczej (komunikat z października 2014). A w połowie wieku XXI mogą mieć gospodarkę nawet dwa razy większą od gospodarki Stanów. I nie chodzi tu o mniej lub bardziej prawdopodobny upadek USA, ale o obiektywny i – wydaje się – nieprzerwany wzrost Chin. Chodzi więc o względny schyłek Ameryki jako supermocarstwa, widoczny w relacji do postępującego wzrostu bogactwa i potęgi Chin.

Kurs na rywalizację

Po układzie Mao-Nixon z 1972 r. zagrożone dominacją sowiecką Chiny zaakceptowały supremację USA w Azji. W zamian otrzymały możliwość błyskawicznego rozwoju gospodarczego, pojawił się napływ inwestycji kapitałowych, dostęp do globalnego (w tym amerykańskiego) rynku. Chińczycy najwyraźniej chcą ten model zmienić, gdyż jego formuła i funkcjonalność w ostatnich latach się wyczerpały. Z perspektywy Pekinu amerykańskie interesy w regionie mocno uwierają – tłumiąc możliwości dalszego chińskiego rozwoju i de facto nie akceptując statusu Chin jako mocarstwa, bez którego zgody nic się nie da w Azji zrobić.

Chińczycy widzą to w ten sposób: z punktu widzenia geopolitycznego USA, nie licząc się z interesami Chin, w zasadzie stosują na Zachodnim Pacyfiku odpowiednik dawnej doktryny Monroe'a. W XIX w. oznaczała ona sprzeciw wobec

poszerzania europejskich wpływów w Amerykach. Dziś – konserwację amerykańskiej hegemonii w Azji, z pominięciem skokowego wzrostu znaczenia Chin. Amerykańska polityka wobec Chin w ostatnich 20 latach oparta była na tzw. Hedgingu: Chiny akceptowały dominację polityczną i gospodarczą USA w regionie oraz system zasad w handlu narzucony przez Waszyngton, a w zamian za to mogły nieskrępowanie handlować ze światem. Amerykanom wydawało się, że kontrolują system właśnie poprzez zapewnianie dostępu do rynków światowych, a Chiny potrzebują przecież do swojego rozwoju spokoju w handlu. Problem w tym, że zajęci wojną z terrorem po 2001 r. decydenci w USA przespali moment, w którym Chiny stały się zbyt ważne dla handlu światowego, by można było je karnie odizolować od globalnego obrotu. Teraz jest już na to za późno. W Waszyngtonie zrozumiano ten błąd w czasie kryzysu finansowego 2008–2009.

Decydenci w USA przespali moment, w którym Chiny stały się zbyt ważne dla handlu światowego, by można było je karnie odizolować od globalnego obrotu

Kryzys ten przebudował myślenie amerykańskich decydentów o przyszłych relacjach z Chinami. Ogłoszono sławny już pivot na Pacyfik. Przedsięwzięto spektakularną akcję dyplomatyczną mającą

na celu przekonanie państw w regionie, że Ameryka wciąż jest silna i wciąż jest gwarantem bezpieczeństwa i dobrobytu, którym cieszyła się Azja w dobie prymatu USA od 1972 r. Kulminacją strategicznego przesunięcia na Pacyfik było bardzo stanowcze i konfrontacyjne wystąpienie prezydenta USA w parlamencie Australii w Canberze (listopad 2011), które zostało uznane przez azjatyckich obserwatorów za doktrynę Obamy. Jego sygnał był klarowny: Ameryka z całą swoją siłą stoi na straży status quo w Azji i będzie go broniła wszelkimi metodami, a porządek ten uważa za najlepszy z możliwych. Już później sekretarz stanu Clinton zmiękczała przekaz wobec przerażonych wizją konfrontacji azjatyckich państw położonych na osi konfliktu USA–Chiny, mówiąc o specjalnej relacji, jaką Stany muszą wypracować z Chinami. Specjalnej to znaczy takiej, jaka nigdy jeszcze nie istniała pomiędzy naturalnie konkurującymi supermocarstwami.

Czego chcą Chiny

Chiny z kolei mają małe szanse, by z sukcesem doprowadzić do pełnej hegemonii w rejonie Azji i Pacyfiku. Istnieje po prostu zbyt wiele silnych państw obecnych w regionie, które będą się temu sprzeciwiać. Są to nie tylko Stany Zjednoczone. To także trzecia gospodarka świata Japonia, wzrastające Indie, słaba gospodarczo, ale wojskowo silna i dysponująca arsenałem nuklearnym Rosja oraz cała rzesza państw średnich, które mają swoje oddziaływanie na ład polityczny w Azji: Korea Południowa, Wietnam czy Indonezja. Celem Chin jest natomiast stopniowe zaprowadzenie własnej wersji doktryny Monroe'a w Azji i na Zachodnim Pacyfiku, z wypchnięciem USA z regionu:

tak jak kiedyś Amerykanie wypchnęli Brytyjczyków z zachodniej półkuli. Doktryny przypominającej stary, dobrze znany elitom chińskim system trybutarny oparty na dominacji ekonomicznej i prymacie interesów Chin. Wraz ze stopniową dominacją nad centrum produkcyjnym świata w XXI w. przyjdzie potęga gospodarcza, która przerodzi się w światową dominację.

Chińczycy, napotykać opór USA i innych państw, stają także przed dylematem. Na razie są za słabi, by sięgnąć wprost po hegemonię, ale już za silni, by dalej akceptować prymat Stanów kosztem własnego rozwoju i własnych interesów. Narasta powodująca destabilizację sprzeczność interesów, co również nie sprzyja podstawowemu celowi Chin – szybkiemu rozwojowi gospodarczemu, który może przecież stopniowo doprowadzić do dominacji chińskiej. Zrozumienie tej pełnej napięcia zależności otworzyłoby drogę do docenienia potrzeby ustanowienia koncertu mocarstw w Azji.

Logika koncertu mocarstw

Trzeba zdać sobie sprawę z ryzyka, jakie płynie dla świata z pogłębiającej się rywalizacji chińsko-amerykańskiej. Status quo jest nie do utrzymania. Próba jego utrzymania za wszelką cenę przez USA może doprowadzić do wojny, czego pierwsze sygnały już widać na horyzoncie azjatyckim. Oddanie Azji i Zachodniego Pacyfiku w dominację Chinom może przynieść z kolei nieprzewidywalne skutki dla całego globu, w tym dla całej sieci powiązań handlowych i międzynarodowych, jakie znamy od kilkuset lat, właściwie od początku wielkich odkryć geograficznych dokonanych przez Europejczyków. Wszystkie scenariusze jawią się zatem jako jeszcze gorsze od koncertu mocarstw.

Zarazem sam koncert mocarstw jest i tak trudny do wyobrażenia, a tym bardziej do uzgodnienia, wprowadzenia i utrzymania. W ogóle nie byłby rozpatrywany, gdyby inne rozwiązania były mniej beznadziejne. Last but not least – koncepcja koncertu mocarstw nie może zostać WASHINGTONOWI ani PEKINOWI narzucona. Oba supermocarstwa muszą się na nią zgodzić.

W roku 1815 Europa była zmęczona i zniszczona wojnami napoleońskimi, które były klasycznymi wojnami o hegemonię europejską. Pięć mocarstw (Wielka Brytania, Francja, Prusy, Austria i Rosja) spotkało się w Wiedniu, by wynegocjować powojenny ład w Europie. Celem było zredukowanie ryzyka wielkiej wojny pomiędzy nimi. Stworzony ład w zasadzie przetrwał do 1914 r. I cokolwiek myślą o tym Polacy, to wiek XIX, od Wiednia do Sarajewa, był bezspornie „Wiekem Europy” – rozwoju demograficznego, bogactwa i potęgi oraz ekspansji kolonialnej. Państwa koncertu mogły konkurować, ale w ramach limitu polegającego na niepozabawianiu innych mocarstw statusu mocarstwa w systemie. Stąd rywalizowano w koloniach i na peryferiach Europy (sprawa upadających Osmanów).

Podobnie koncert azjatycki z pewnością rywalizowałyby o wpływy i zasoby w Afryce i na Bliskim Wschodzie. Do dziś widać w Europie konsekwencje powiedeńskiego ładu. I o ile na Starym Kontynencie wybuchały w XIX w. wojny, to żadna z nich nie zmieniła się w ogólnoeuropejską batalię o hegemonię. Kongres wiedeński bowiem wprowadził zasadę, iż żadne mocarstwo nie stara się zdominować innych, a jeśli to robi, wszystkie pozostałe jednoczą się przeciw niemu. Małe i średnie państwa oczywiście w tym dealu nie

uczestniczą. Kryterium była i jest siła. Należy mieć taką, żeby móc zagrazać niepodległości innych mocarstw. A zatem koncert dotyczył tylko naprawdę potężnych państw. Jak każdy system miał wady, ale zapobiegł wielkiej wojnie, czego nie można powiedzieć o XX w.

Celem Chin jest stopniowe zaprowadzenie własnej wersji doktryny Monroe’a w Azji i na Zachodnim Pacyfiku, z wypchnięciem USA z regionu

Kamieniem węgielnym koncertu mocarstw jest przekonanie, że poszukiwanie samodzielnej hegemonii jest mniej korzystne niż utrzymanie koncertu. Należy przy tym odróżnić koncert mocarstw od systemu równowagi sił, który z kolei panował w Europie od czasu wojny trzydziestoletniej. Koncert wymaga porozumienia dosłownego lub dorozumianego pomiędzy mocarstwami. W systemie równowagi sił gracze nie porozumiewają się, lecz sam system czyni spontanicznie próby hegemoniczne trudnymi. Ze strachu inni zawiązują sojusze, i to często prewencyjnie, co czyni jednak system równowagi sił niezmiernie niestabilnym, podatnym na błędne kalkulacje dotyczące potencjału własnego oraz sił i intencji innych graczy.

Wydaje się, że istnieje siedem założeń udanego koncertu mocarstw w Azji: po pierwsze każde mocarstwo koncertu uznaje legitymację wewnętrzną innych mocarstw; po drugie każde mocarstwo akceptuje to,

że każdy ma legitymowane interesy, omawiane w negocjacjach i nie ma dominatora, który „wie lepiej” od innych; poza tym każdy gracz koncertu ma prawo do rozwijania sił zbrojnych i obrony swoich interesów, natomiast siły zbrojne zdolne do zagrożenia i kontroli całego systemu są nieakceptowalne; koncert mocarstw nie jest więc paktem rozbrojeniowym, lecz dominacja militarna jednego nad wszystkimi innymi niszczy koncert; co więcej, muszą zostać ustalone procedury i zasady dozwolonego postępowania mocarstw w ramach nieposzukiwania dominacji; musi istnieć również dorozumiane uzgodnienie, że wszyscy sprzeciwiają się dominacji jednego z nich; kolejne założenie: społeczeństwa i narody mocarstw z koncertu muszą zaakceptować mentalnie i aksjologicznie ograniczenia płynące z koncertu mocarstw, co wydaje się trudne zarówno dla kultury amerykańskiej, jak i chińskiej; I, co istotne, w zakresie prestiżu i statusu mocarstwa koncertu muszą się traktować jak równi.

Ta lista dobitnie pokazuje, dlaczego koncert mocarstw należy do rzadkich zjawisk w historii.

O zaproszeniu do koncertu decyduje następująca zasada: członkowie układu nie muszą być równie silni. Ale najsłabszy musi być na tyle silny, aby mieć moc przeciwstawienia się działaniom koncertu, jeśli pozostałby poza nim albo jego interesy nie byłyby reprezentowane i zaspokajane przez uzgodnienia koncertu. Najsilniejszy gracz natomiast nie może być też tak silny, by mógł zdominować wszystkich innych – bo wtedy nie jest powstrzymywany przez tych działających w ramach koncertu. Aby koncert był trwały, musi zaprosić wszystkie państwa w regionie mieszczące się w powyżej zdefiniowanych ograniczeniach.

Kogo zaprosić, kogo pominąć

Do koncertu mocarstw w Azji zaproszone zostałyby USA, Chiny, Japonia i Indie. Poza prący do dominacji Stanami i Chinami oczywistym członkiem zaproszonym do niego byłaby Japonia: trzecia gospodarka świata, morskie, handlowe państwo o olbrzymich zasobach technologicznych i organizacyjnych, którego położenie geograficzne umożliwia kontrolę szlaków morskich do wschodniej Azji i w kierunku Pacyfiku do USA. Uczestniczenie Japonii w koncercie azjatyckim w roli mocarstwa wymagałoby ogromnej zmiany mentalnej i wojskowej. Jednocześnie bez udziału w nim Japonii nie da się ustanowić koncertu.

W przypadku japońskim zachodzi bardzo interesujący paradoks. Bez ścisłego sojuszu z Japonią USA nie mogą dzierżyć prymatu w Azji. Bez podporządkowania Japonii z kolei Chiny nie uzyskają własnego statusu hegemonu w regionie. A zatem Japonia jest w pułapce: im bardziej się boi Chin, tym bardziej zależy od USA. A paradoks polega na tym, że im silniejsze są Chiny, tym mniej Japonia może polegać na Stanach, ponieważ Chiny stają się zbyt wartościowe i niebezpieczne dla żywotnych interesów Ameryki, co może doprowadzić do poświęcenia przez USA interesów Japonii w razie potrzeby. To stwarza dla Japonii sytuację strategiczną nie do utrzymania na dłuższą metę: polegania w zakresie bezpieczeństwa na rywalizacyjnej relacji pomiędzy swoimi dwoma najważniejszymi partnerami gospodarczymi i międzynarodowymi. Eskalacja rywalizacji amerykańsko-chińskiej byłaby dla Japonii katastrofalna. Równie niekorzystna, a nawet katastrofalna, byłaby ścisła współpraca i przyjaźń strategiczna pomiędzy Chinami a USA. Jedynym wyjściem Japonii będzie

ucieczka od uzależnienia od Stanów w zakresie bezpieczeństwa i zdolności wojskowych aż po uzyskanie japońskiej broni nuklearnej. To doprowadziłoby do końca sojuszu z USA. I tylko pozornie byłoby to dla nich niekorzystne. Albowiem wraz ze wzrostem Chin Japonia staje się z każdym dniem większym ciężarem dla USA – wikła Amerykanów w spory japońsko-chińskie oraz utrudnia poszukiwanie porozumienia z Chinami ponad interesami Japonii. Zatem utrzymanie ścisłego sojuszu Stanów z Japonią czyni niemożliwym powstanie koncertu mocarstw w Azji. Chyba że Amerykanie za wszelką cenę chcą zachować hegemonię – wówczas ścisły sojusz z Japonią jest niezbędny. Sama Japonia w sensie teoretycznym nie ma chyba alternatywy. Jeśli bowiem pozostanie klientem USA, będzie uwięziona w dylemacie strategicznym opisanym powyżej, może też wpaść łatwo w pułapkę wahadła przy ostrym przesileniu geopolitycznym w stronę uzależnienia wobec Chin. Niektórzy analitycy wątpią, czy Japonia jest zdolna mentalnie do wielkiej metamorfozy i przeformułowania swojego miejsca w świecie. A bez udziału Japonii nie będzie koncertu mocarstw. Zresztą tak długo jak Japonia pozostaje klientem USA, Ameryka jest zbyt silna dla Chin, by zaakceptować koncert mocarstw w Azji. Sojusz Japonii z Chinami prawie symetrycznie by tę zależność odwrócił. Konkluzja zatem jest następująca: koncert mocarstw powstanie i utrzyma się, jeśli Japonia stanie się bardziej niezależna od USA.

Indie rosą gospodarczo i demograficznie, pozostając jednak znacznie słabsze od pozostałych trzech mocarstw projektowanego koncertu. Niebagatelna jest jednak niezastąpiona rola w oddziaływaniu Indii na basen Oceanu Indyjskiego, który w XXI w. będzie autostradą handlową

i surowcową świata oraz drogą mocarstw azjatyckich do Afryki i na Bliski Wschód. Dlatego Indie powinny wejść do koncertu.

Rosja, choć bardzo by chciała być w układzie mocarstw w Azji, pozostałaby poza koncertem, bo jest w Azji zwyczajnie za słaba i nie spełnia założeń definicji koncertu wyłożonych wyżej. Choć trzeba przyznać, że obecna gra rosyjska nastawiona na rewizję całego ładu międzynarodowego, skupiona wokół kwestii Ukrainy, ma na celu zbudowanie koncertu decydujących mocarstw z udziałem Rosji nie tylko w Europie, lecz także w Azji.

Status quo jest nie do utrzymania. Próba jego utrzymania za wszelką cenę przez USA może doprowadzić do wojny światowej

Brak Rosji w koncercie azjatyckim po prostu zupełnie nie wpłynie na jego funkcjonalność ani istnienie. Wprawdzie Rosja wydaje się potencjalnie partnerem, który może pomóc USA w rozgrywce z Chinami, jednak trudno przewidzieć jej rolę. Po pierwsze, nie wiadomo, jak silna będzie – ma bezsprzecznie wielkie terytorium, zasoby i wykształcone społeczeństwo, i to pomimo słabości demograficznych. Ale rosyjska gospodarka jest słaba, płytka i bardzo wrażliwa na wahania na rynkach surowcowych i nie stanie się mocarstwem w Azji w najbliższych dekadach. Postępująca słabość wobec Chin i długa z nimi granica będzie czynić Kreml ostrożnym

w prowadzeniu proamerykańskiej polityki wobec Chin. W najbliższej sytuacji nie ma wątpliwości, iż Rosja ma w Azji status jedynie silnego państwa średniego. To samo dotyczy innych kandydatów: Korei Południowej, Wietnamu i Indonezji.

Największe wyzwanie

Obecna sytuacja i wybór, przed którym stoją Amerykanie, jest wielkim testem dla politycznych elit w Waszyngtonie. Samo postawienie w ten sposób sprawy kwestionuje ich postrzeganie sytuacji na świecie, dodatkowo wzmocnione w sumie niedawną supremacją USA po zakończeniu zimnej wojny. Amerykanie będą musieli przetrwać nie tylko swoje przywiązanie do Bretton Woods II, konsensusu waszyngtońskiego, MFW i Banku Światowego i własnej roli w Azji oraz w gospodarce światowej, lecz także do kwestii liberalizmu gospodarczego, demokracji i zachodniego rozumienia praw człowieka. Do własnego przekonania, iż są „miastem na wzgórzu” i własnej wyjątkowości oraz roli na świecie. Fundamentalne pytania będą musiały być zadane w sprawie własnych sił zbrojnych i zdolności do projekcji siły w relacji do sił innych mocarstw. Pytania już nie mocarstwa bezsprzecznie dominującego nad

wszystkimi, ale jednego z wielu w systemie, nawet jeśli pojedynczo wciąż najsilniejszego. Amerykanie będą zmuszeni do zdefiniowania wąskiej grupy interesów, których nie będą mogli odpuścić, a pogodzić się z wynegocjowaniem innych, których do tej pory strzegli i które uważali za w pełni uprawnione. To bardzo trudna droga dla supermocarstwa, które przed I wojną światową sięgnęło po prymat gospodarczy, nie musząc brać udziału w koncercie mocarstw lub w grze równych graczy w systemie.

Powyższe ćwiczenie się przyda, nawet jeśli nie powstanie formalnie koncert mocarstw w Azji, a Chiny siłą rzeczy, albo, jak to ujął Kissinger, dzięki „niewidzialnej ręce” uzyskają koncesje i nowy status kosztem Amerykanów. Brak stosownej refleksji i dostosowania się może przemienić rodzącą się konfrontację strategiczną w nową zimną wojnę, tym razem amerykańsko-chińską, ta zaś łatwo może przerodzić się w wojnę gorącą. A warto pamiętać, że Chiny są znacznie potężniejsze w relacji do swoich potencjalnych przeciwników, niż były nazistowskie Niemcy czy Związek Sowiecki.

Właściwe podejście to tego problemu to największe globalne wyzwanie nadchodzących lat.

Kto zarobi na ustawie o petycjach?



PIOTR TRUDNOWSKI

Były redaktor „Rzeczy Wspólnych”

Członek warszawskiego zespołu Klubu Jagiellońskiego

Ustawa o petycjach upodmiotowi obywateli. Ale też wzbogaci klasę polityczną. Powstać może kilka tysięcy nowych rządowych stron internetowych.

Kiedy po 17 latach (sic!) ustawodawca wreszcie wywiązał się z konstytucyjnego zobowiązania do stworzenia przepisów pozwalających na realizację prawa do petycji, powstała ustawa pełna absurdów i z całą pewnością bardzo kosztowna. Historia ustawy o petycjach jak w soczewce skupia patologie procesu stanowienia prawa w Polsce.

O co chodzi w prawie do petycji

Prawo do petycji jest jednym z fundamentalnych praw politycznych, w zachodnim konstytucjonalizmie obecnym już w konstytucji amerykańskiej, a wywodzonym nawet z XIII-wiecznej Magna Charta Libertatum. W polskiej tradycji ustrojowej gwarantowane było w konstytucji marcowej. W III RP prawo do petycji zagwarantowane zostało w artykule 63. Konstytucji RP, który stanowi, że „każdy ma prawo składać petycje, wnioski i skargi w interesie publicznym, własnym lub innej osoby za jej zgodą do organów władzy publicznej oraz do organizacji i in-

stytucji społecznych w związku z wykonywanymi przez nie zadaniami zleconymi z zakresu administracji publicznej”.

Co istotne, w drugim zdaniu konstytucja jasno stanowi, że „tryb rozpatrywania petycji określa ustawa”, co oznacza, że petycje to nie tylko prawo do pisania do rządzących, lecz także oczekiwanie od nich odpowiedzi. Możliwość zwracania się do przedstawicieli władzy w dowolnej sprawie można uznać za fundament wolności słowa. Z kolei zobowiązanie rządzących do udzielania odpowiedzi na żądania obywateli to mechanizm realnie wpływający na ich możliwość partycypacji w życiu publicznym.

Przez brak ustawowej regulacji petycje składane dotąd przez Polaków faktycznie pisane były „na Berdyczów”. Mogli zwracać się do władzy, ale ta nie miała obowiązku ani na apele obywateli odpowiadać, ani ich rozpatrywać. Adresaci często nieświadomi byli, że obywatele mają w ogóle prawo do petycji. Wraz z rozwojem Internetu doprowadzało to do sytuacji tak absurdalnych, że obywatele, którzy wysyłali

petycje do posłów czy radnych, określani byli przez adresatów mianem... spamerów. Takie były efekty braku ustawy.

Na jej powstanie czekaliśmy jednak... 17 lat. Wiele mówi to o priorytetach ustawodawcy, skoro skomplikowane i niezrozumiałe dla szarego obywatela akty prawne powstają i są uchwalane często w ciągu kilku miesięcy. Szczególnie często dotyczy to tych aktów, które oznaczają wielomiliardowe machinacje budżetowe lub nakładanie na obywateli dodatkowych obowiązków finansowych. W tej kadencji bardzo szybko uchwalono ustawę faktycznie likwidującą Otwarte Fundusze Emerytalne, ozusowanie umów-zleceń czy zawieszenie progu ostrożnościowego w 2013 r.

Nowa ustawa określa, że petycje tworzyć mogą zarówno obywatele osobiście, jak i organizacje, instytucje czy nieformalne grupy osób. Adresatem petycji może być zaś organ władzy publicznej, ale też każda organizacja czy instytucja wykonująca zadania zlecone z zakresu administracji publicznej. Co istotne, petycje mogą dotyczyć zarówno dobra wspólnego, jak i interesów prywatnych jednostek czy organizacji. Wreszcie ustawa zobowiązuje adresata, by rozpatrzył petycję bez zbędnej zwłoki, jednak „nie później niż w terminie trzech miesięcy od jej złożenia”.

Co właściwie oznacza fakt, że ustawa wreszcie jest? W dowolnej sprawie prywatnej i publicznej będziemy mogli zwracać się do władzy, oczekując rozpatrzenia swojego apelu i odpowiedzi w ciągu trzech miesięcy. Biorąc pod uwagę, że dzięki internetowym serwisom petycyjnym i akcjom społecznościowym petycje w ostatnich latach stały się bardzo popularne, to ich prawne umocowanie z pewnością stanowić będzie impuls do uświadomienia rządzącym ich służebnej względem oby-

wateli roli. Ci ostatni mogą dzięki temu prawu stać się bardziej podmiotowi: będą mogli oczekiwać reakcji na swoje apele, nagłaśniać zarówno same akcje, jak i (dobrą lub złą) reakcję rządzących. Dla organizacji pozarządowych z kolei może to być bardzo dobre paliwo do angażowania szerokich społeczności dla spraw, o które te organizacje walczą. Budując poparcie dla danego apelu, będą mogli przedstawiać konkretne konsekwencje wynikające z zaangażowania się sympatyków.

Dzięki ustawie o petycjach obywatele mogą się stać bardziej podmiotowi: będą mogli oczekiwać reakcji na swoje apele, nagłaśniać zarówno same akcje, jak i (dobrą lub złą) reakcję rządzących

Ale ustawa ma też ciemną stronę. Cztery podejścia i sześć lat prac nad ustawą (ruszyły w 2008) nie uchroniły nas przed absurdami i bublami.

Patologia 1: znów zapomniano o BIP

Najbardziej zastanawia konsekwentnie stosowana przez ustawodawcę formuła „strona internetowa podmiotu rozpatrującego petycję”. Właśnie na owej „stronie internetowej” umieszczane mają być „skany” petycji, informacje na temat postępów w ich rozpatrywaniu, wreszcie zaś odpowiedzi adresata. Przecież po to powstał

Biuletyn Informacji Publicznej, by wszelka informacja publiczna – a z tą ewidentnie mamy do czynienia w przypadku petycji i odpowiedzi na niej – była gromadzona w sposób ustandaryzowany i łatwo dostępny! Dlaczego zamiast BIP ustawodawca pisze więc o „stronach internetowych”?

Z dużym prawdopodobieństwem można podejrzewać, że co najmniej część podmiotów obowiązanych do rozpatrywania petycji postanowi, by zamiast aktualizować BIP, tworzyć odrębne, dedykowane petycom i z pewnością kosztowne serwisy lub podstrony istniejących serwisów. Dowód? W uzasadnieniu do ustawy w ocenie skutków regulacji wprost zapisano, że „wejście w życie ustawy może spowodować zwiększenie wydatków z budżetu państwa oraz budżetów jednostek samorządu terytorialnego”, gdyż „mogą być one związane z modernizacją stron internetowych”.

Sprawa jest na tyle poważna, że właśnie ze względu na potrzebę tworzenia i modernizacji odpowiednich stron internetowych z 6 do 12 miesięcy wydłużono *vacatio legis* ustawy. Na tym, że ustawodawca zapomniał o istnieniu BIP, na pewno ktoś nieźle zarobi. Przypomnijmy, że przewidziana „modernizacja” dotyczy musi co najmniej blisko 2 500 stron gmin, kilkuset stron powiatów, co najmniej kilkudziesięciu stron urzędów centralnych i trudnej do zidentyfikowania liczby „organizacji lub instytucji społecznych wykonujących zadania zlecone z zakresu administracji publicznej”.

Patologia 2: brak oceny skutków regulacji

Równie absurdalna wydaje się przewidziana uzasadnieniem „konieczność stwo-

żenia nowych stanowisk pracy dla osób odpowiedzialnych za realizację obowiązków wynikających z ustawy”. Trudno uwierzyć, by wśród półmilionowej armii urzędników brakowało dysponujących czasem, by odpowiadać na petycje obywateli. Oczywiście projektodawca zaznaczył w uzasadnieniu, że zarówno w przypadku tworzenia stron internetowych, jak i zwiększenia zatrudnienia „skala tego rodzaju wydatków jest trudna do oszacowania”.

Przypomnijmy, że ocena skutków regulacji (OSR) wymagana jest jedynie w przypadku rządowych projektów legislacyjnych, ale i w przypadku tych ustaw traktowana jest zwykle po macoszemu. Senackie uzasadnienie do ustawy o petycjach zwraca co prawda uwagę na część oczekiwanych skutków ustanowienia nowego prawa, jednak trudno nazwać przedstawione informacje „oceną”, a co najwyżej „intuicją” ustawodawcy. Na potrzebę urealnienia rządowych OSR-ów i wprowadzenia analogicznych wymogów dla projektów parlamentarnych zwracano uwagę wielokrotnie. W ostatnim czasie chociażby w ramach prac Ministerstwa Sprawiedliwości nad systemową reformą procesu stanowienia prawa czy w tegorocznym raporcie Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka.

Patologia 3: sejmowe poprawki poza kontrolą

Oddać należy, że prace Senatu, choć prowadzone z godną „izby namysłu” dynamiką, konsultowane były z obywatelami. Odbywały się też dedykowane prawu do petycji seminaria i debaty z udziałem przedstawicieli organizacji pozarządowych.

Senackie prace nad projektem trwały od jesieni 2008 do początku 2013 r. W Sej-

nie prace trwały nieporównywalnie krócej: niespełna pół roku. Choć większość z sejmowych poprawek uznać można za techniczne i słuszne, to jednak niepokojem napawa to, że prace sejmowe prowadzone były nie tylko bez konsultacji i uzgodnień, lecz także w tempie, które nie pozwoliło organizacjom pozarządowym merytorycznie odnosić się do wprowadzanych zmian na forum publicznym, poza konsultacjami.

Tymczasem Sejm zrezygnował np. z lansowanej w Senacie koncepcji, by petycjom zapewnić analogiczne obwarowania jak w przypadku obywatelskich inicjatyw ustawodawczych, czyli m.in. zawieszenie prawa dyskontynuacji dla projektów ustaw, które tworzone będą pod wpływem petycji obywatelskich. Pomysł traktowania petycji jako alternatywnego źródła „impulsu legislacyjnego” uznać można za kontrowersyjny, ale na pewno o doniosłym wpływie na możliwość uczestnictwa obywateli w procesie stanowienia prawa. Tymczasem zrezygnowano z niego bez dyskusji, w sposób zupełnie niezauważony.

Organizacje pozarządowe wielokrotnie zwracały uwagę, że powszechna jest praktyka tworzenia przez rząd nowelizacji, które dla omięcia wymogów konsultacyjnych zgłaszane są właśnie jako poprawki poselskie. Opisana sytuacja to kolejny z dowodów, że właśnie na etapie sejmowym proces legislacyjny jest najbardziej nieprzejrzysty. Pozwala na błyskawiczną zmianę sensu proponowanej regulacji, jednocześnie pozostawiając sejmowy proces legislacyjny w praktyce poza kontrolą strony społecznej.

Patologia 4: nieostrość pojęć rozstrzygną sądy?

Ustawa określa, że petycja, która ma zostać rozpatrzona, musi zawierać dane

adresowe podmiotu wnoszącego petycję (co istotne wobec dotychczasowej popularności internetowych petycji, które zawierały jedynie adres e-mail wnoszącego). Możliwe jest składanie petycji „za pomocą środków komunikacji elektronicznej”. Szczegółowe przepisy są już jednak niezrozumiałe: choć w petycjach „analogowych” petycja „powinna być podpisana”, to w przypadku petycji elektronicznej jedynie „może być opatrzona bezpiecznym podpisem elektronicznym weryfikowanym przy pomocy ważnego kwalifikowanego certyfikatu”.

Na samym wstępie mamy więc zawartą językową nieścisłość, która zapewne w pierwszych miesiącach obowiązywania ustawy rozstrzygana będzie na drodze postępowania administracyjnosądowego. W przypadku praw obywatelskich przepisy powinny być jasne, a miejsca do interpretacji urzędników powinno być jak najmniej. Na dowód przywołajmy analogiczną sytuację w przypadku informacji publicznej: urzędnicy arbitralnie podejmują decyzje, co jest, a co nie informacją publiczną, obywatele zaś muszą później walczyć o swoje prawa przed sądami administracyjnymi. Dla organizacji pozarządowych i zwykłych obywateli tego rodzaju dowolność władzy zawsze jest złą. W sytuacji gdy notorycznie narzekamy na czas trwania postępowań sądowych, tworzenie kolejnych nieścisłości, które właśnie sądy będą musiały rozstrzygać, zakrawa na kolejny już absurd.

Patologia nr 5: drukowanie Internetu

Ustawa określa też, że w Internecie umieszczane będą „odwzorowania cyfrowe” wprost określone w ustawie „skanami” złożonych petycji. Abstrahując od tego, że – jak słusznie zwrócił uwagę Piotr

Wagłowski – „skany” nie spełniają wymogów dostępności dla osób niepełnosprawnych, do których przestrzegania jesteśmy zobowiązani ratyfikowanymi umowami międzynarodowymi, to każdy, kto miał do czynienia z administracją publiczną, łatwo może wyobrazić sobie sytuację, kiedy dla spełnienia ustawowego wymogu urzędnicy będą drukować składane „za pomocą środków komunikacji elektronicznej” petycje. Tylko po to, by je zeskanować i umieścić w Internecie.

Swego czasu karierę robiło zdjęcie biurka ówczesnego ministra cyfryzacji Michała Boniego zawałonego papierzyskami z podpisem „minister Boni drukuje Internet”. Jak widać, wyobraźnia ustawodawcy przerasta czasem nawet poczucie humoru internautów.

Nowe patologie w miejsce starych braków

Podsumowując, ustawa o petycjach już dziś, 10 miesięcy przed jej wejściem w życie, może budzić poważne obawy. Jej historia jest znakomitą egzemplifikacją tego,

jak bardzo po macoszemu ustawodawca traktuje realizację praw obywatelskich. Znow ujawniła się niechlujność ustawodawcy. Przepisy ustawy, mimo właściwie prostej materii, są zagmatwane, pełne wzajemnych odniesień i niespójne terminologicznie.

Wyobraźnia ustawodawcy przerasta czasem nawet poczucie humoru internautów

Najbardziej niepokoi jednak, że ustawodawca znow stworzył przestrzeń dla pompowania wydatków na obsługę informatyczną urzędów, która od lat pochłania miliardy złotych z publicznych środków. Dziś to od czujności mediów, watchdogów i opozycji zależy, czy i w tym przypadku pieniądze podatników zostaną utopione w nikomu niepotrzebne serwisy internetowe.

Konserwatysta przeciwko narodowym mistyfikacjom



KRZYSZTOF WOŁODŹKO

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”

Im głośniej bijemy w patriotyczny bębenek, tym mniej w tym treści rzeczywiście sprzyjających Polsce. Ta wyjściowa teza, którą można wysnuć z dorobku intelektualnego prof. Bronisława Łagowskiego, powoduje, że jest on myślicielem źle widzianym

Rodzime polityka i życie społeczne są sferami potężnych mistyfikacji, które utrzymują nas w stanie schizofrenii narodowej. Im głośniej bijemy w patriotyczny bębenek, tym mniej w tym treści rzeczywiście sprzyjających Polsce. Ta wyjściowa teza, którą można wysnuć z dorobku intelektualnego prof. Bronisława Łagowskiego, oraz jej uzasadnienia powodują, że jest on myślicielem źle widzianym przez dużą część opinii publicznej. Ale przemilczanie Łagowskiego to poważna szkoda dla diagnoz współczesności, które usiłujemy stawiać.

Łagowski przypomniał o sobie ostatnio wywiadem poświęconym naszej polityce wschodniej, którego udzielił portalowi Onet.pl. Postawił w nim mocną tezę: „Uparte mieszanie się w sprawy ukraińskie doprowadziło [...] do zwrócenia uwagi Rosji na Polskę, i to wrogiego zwrócenia uwagi. [...] Nastąpiło niesamowite przybliżenie, skądinąd niebezpiecznej Rosji – i to przybliżenie ewentualnego rosyjskiego zagrożenia nie jest spowodowane

niczym innym, jak naszą polityką ukraińską”.

W zależności od dość czytelnych linii podziału w kwestiach polsko-ukraińsko-rosyjskich wywiad w jednym wzbudził irytację, innym jego treści wydały się oczywiste. A ponieważ Łagowskiego „nie ma w telewizji”, wielu młodszych internautów przy okazji dowiedziało się o jego istnieniu. Z kolei nieco starsi, pravicowi komentatorzy i publicyści z ogromną ulgą mogli rzecz zbyć stwierdzeniem: to przecież publicysta „Przeglądu”, starej daty postkomunista.

Niniejszy artykuł wymaga nieco bardziej osobistego wyjaśnienia. Jestem byłym studentem prof. Łagowskiego i wiele mu zawdzięczam, choć dziś czytam go bardziej jako polemista niżli apologeta. Ale w niniejszym artykule chciałbym możliwie jak najwierniej zreferować jego myśl. Właśnie dlatego, że bywa ona odczytywana bardzo wrywkowo i wekslowana do kwestii – mocno uproszczonych przez „recenzentów” – sympatii politycznych profesora.

Mierzyć zamiary podług sił

W 1981 r. Łagowski opublikował pracę „Filozofia polityczna Maurycego Mochnackiego”. Książka należała do popularnego wówczas nurtu „literatury historii idei”, w którym dyskutowano zgodnie z zasadą wyłożoną przez Horacego w „Satyrach”: „Mutato nomine de te fabula narratur” – „pod zmienionym imieniem o tobie mówi ta bajka”. Taka strategia, osnuta na kanwie bezpiecznych rozważań historycznych, pomagała przemycić w sposób akceptowalny dla ówczesnej cenzury kontrowersyjne odniesienia do polskiego „tu i teraz”.

W „Filozofii politycznej...” Łagowski wyraził treści, które na dobre będą towarzyszyć jego ocenie rodzimej rzeczywistości. Nie bez przyczyny stwierdzał: „Mochnacki był doskonałym wcieleniem najlepszych cech umysłowości szlacheckiej: zamiłowania do wolności, rycerskości, humoru, patriotyzmu. Nie posiadał wad tej umysłowości, w szczególności nie był skłonny do owego podobno specyficznego polsko-szlacheckiego lekkiego traktowania najdonioślejszych nawet kwestii publicznych”. I w innym miejscu: „Na Mochnackim ciąży, moim zdaniem, jeden tylko poważny błąd polityczny. Tym błędem był współudział w przygotowaniu powstania listopadowego. [...] Ocena polityczna musi uwzględniać skuteczność; działania społeczne, które nie przynoszą oczekiwanego skutku, mogą być mimo to moralnie chwalebne, ale z politycznego punktu widzenia muszą być uznane za błąd. Działalność polityczna stałaby się w jeszcze większym stopniu, niż jest, dziedziną hazardu i nieodpowiedzialności, gdyby nie stosować wobec niej surowego kryterium skuteczności”.

W powyższych cytatach zawiera się wiele z tego, co stanowi integralną myśl Łagowskiego, zarówno w materii geopolitycznej, jak i w krytyce rodzimej (anty)polityczności. Zachęta, by mierzyć zamiary podług sił, była od początku jednym z publicystycznych leitmotivów filozofa polityki: na kontrze wobec romantycznego paradygmatu głoszącego rzecz odwrotną. Jedną z najistotniejszych wartości, przeciwstawionych „duchom lekkomyślności, anarchii i romantyzmu” jest dla Łagowskiego konserwatyzm.

Prawica gospodarczo tylko formalnie głosi hasła wolnorynkowe, a faktycznie niewiele rozumie z (wyzwań) kapitalizmu

30 kwietnia 1982 r., tuż przed pierwszym majowym świętem, Łagowski wygłosił na Uniwersytecie Jagiellońskim wykład „Filozofia rewolucji czy filozofia państwa?”. Wobec zebranych naukowców i przedstawicieli aparatu władzy Polski Ludowej stwierdzał z ironią: „Są słowa, które dla samych skojarzeń, jakie wywołują, przyjemnie jest słyszeć: słowa takie jak »wolność«, »demokracja«... Są inne słowa, które ze względu na same skojarzenia wydają się przynosić niedobre wieści... Takim słowem jest np. »konserwatyzm«”.

Filozof mówił dalej (wyrażając to w sposób możliwy do wyartykułowania w ówczesnych warunkach), że konserwatyzm jest nieunikniony dla prawidłowego funkcjonowania państwa, także postrewolu-

cyjnego, które musi zerwać ze swoją komunistyczną ideologią. Istotna kwestia: „Rewolucja potrzebuje buntowników, konspiratorów i ideologów; władza legalna potrzebuje prawników, ludzi porządku – przede wszystkim konserwatystów albo przede wszystkim reformatorów, zależnie od okoliczności”.

Stan Polski Ludowej jawił mu się jako schizofreniczny: „Warto postawić sobie pytanie, co by się działo, gdyby usiłowano połączyć i realizować jednocześnie zasady władzy rewolucyjnej i zasady władzy legalnej. Sądzę, że otrzymalibyśmy w wyniku ustrój absurdalny, całkowicie nieprzejrzysty, który posiadałby cechy tyranii i anarchii jednocześnie. Instytucje nie miałyby sprecyzowanych funkcji, za wszystkim kryłoby się coś innego”. Ten patologiczny stan państwa, które nieświadomie chyba usiłowało połączyć w sobie logikę konserwatywnego etatyzmu z (po)marksistowską ideologią rewolucji myśliciel postrzegał jako przeszkodę dla zbudowania funkcjonalnej i efektywnej struktury politycznej. Polacy nie mogą wytworzyć rzeczywistej polityczności, gdyż dysponują przede wszystkim – narzucenymi lub wybranymi dobrowolnie – utopiami i fantazmatami swojej mitologii, wyrosłej i na anarchizmie szlacheckim, i na rozbiorowej traumie braku własnej państwowości.

Krytyka prawicy

W latach 80. XX w. na scenie politycznej i ideowej pojawił się nowy aktor, do którego Łagowski odnosił się bardzo nieufnie. To solidarnościowa opozycja, która – jego zdaniem – przyjęła na siebie rolę piewcy i rozsadnika polskiej anarchiczności i socjalistycznego kolektywizmu w związkowym

wydaniu. Z tej siły powstała już na początku III Rzeczypospolitej nowa, mieniąca się pravicową elita władzy. W tekście „Legenda o dobrym tyranie” opublikowanym w 1993 r. myśliciel stwierdzał: „Dzieje niektórych narodów tak się układają, jakby miały jedynie potwierdzać ich ulubione mity. Upadek realnego socjalizmu w Polsce odrodził ideę anarchicznego rokосу”. Ten rokosz objawiał się jego zdaniem nie tylko w historycznym „antykunizmie” (czyli wyrzuceniu poza nawias „prawdziwie polskiej historii” całego PRL), lecz także w nieumiejętności prowadzenia przez nowe elity polityki wewnętrznej i zewnętrznej: ponieważ zawsze nad realnością i skutecznością zwyciężała logika życzeniowego myślenia.

Z całą siłą narzuca się tutaj jeszcze jeden wątek, związany z kwestiami gospodarczymi. W 1996 r. myśliciel przekonywał, że „Polsce potrzebne są rządy neoliberalnej i neokonserwatywnej prawicy” („Adresowane do prawicy”). Tyle że, jego zdaniem, takiej prawicy w Polsce nie ma: anarchiczna w kwestiach mitologii narodowej, anarchiczna w swoim kulcie insurrekcji i powstań, prawica gospodarczo tylko formalnie głosi hasła wolnorynkowe, a faktycznie niewiele rozumie z (wyzwań) kapitalizmu. Opisując sytuację sprzed wejścia Polski do Unii Europejskiej, konstatował, że partie prawicowe „są tak samo demagogiczne jak partie lewicowe, tak samo jak one uwodzą wyborców obietnicami łatwego życia na koszt Europy Zachodniej, i tak samo przemilczają dające się przewidzieć skutki otwarcia granic i zaostrzonej konkurencji”. W jego opinii w III Rzeczypospolitej istniały od początków co najwyżej fantazmaty liberalizmu gospodarczego – ale rzadko świadomie wdrażana polityka prokapitalistyczna.

Własność, głupcze!

Ponad dziesięć lat później w posłowie do książki „Pochwała politycznej bierności” filozof stwierdzał, że jego własna niebezpieczna apologia myśli neoliberalnej miała służyć przede wszystkim zanegowaniu socjalistycznego myślenia o gospodarce. Chronił się jednak przed ideologizacją myślenia w tej materii, jeśli rozumieć przez to podporządkowanie jakimkolwiek, także liberalnym ideologiom: „Tradycja gospodarczego liberalizmu rozumianego w sensie »liberté de travail« jest mi nadal bliska, lecz odrzucam z pozycji konserwatywnych, a co w moim języku znaczy realistycznych, dedukcyjne wywodzenie polityki gospodarczej z doktryny tak liberalnej, jak jakiegokolwiek innej. Przykład takiej »dedukcji«: ponieważ prywatyzacja jest słuszna, należy zacząć ją od wyprzedzaży najlepszych przedsiębiorstw”.

Jak dalece kwestie własności są ważne dla Łagowskiego, on sam wyłuszczył w obszernym wywiadzie dla „Pressji”, udzielonym pod koniec 2010 r. Krzysztofowi Mazurowi i Arkademu Rzegockiemu: „Dla mnie ważne było jedynie przejście od socjalizmu do liberalizmu, od modelu społecznej własności środków produkcji do własności prywatnej. Jeśli chodzi o sferę polityki, to niektórzy mogą się od razu obrazić na mój pogląd, ale ja w zmianach politycznych nie widzę nic nadzwyczaj ważnego. Prawdę mówiąc, jest dla mnie rzeczą zupełnie obojętną, czy będzie system jednopartyjny z frakcjami, czy będzie system wielopartyjny z jedną ideologią, jak jest u nas obecnie [...]. W politycznym wymiarze przemian, który powszechnie uważany jest za absolutnie najważniejszy, nie widzę nic takiego znowu istotnego. Mogę się przystosować zarówno do sys-

temu jednopartyjnego, jak i do systemu monarchistycznego, wszystko jedno. Ważny jest system własności i zakres własności jednostki, który, jak wiemy, w monarchii może być taki sam lub większy niż w demokracji”.

Polskie oderwanie od rzeczywistości

Dla Łagowskiego kwestia polskich problemów z własną i cudzą rzeczywistością nie odnosi się jedynie do podziałów na prawicę i lewicę. Dotyczy chyba przede wszystkim faktu, że polska (nie)realność oparta jest na swoistym sprzężeniu zwrotnym. Ujmę to w pewnym skrócie: postromantyczne mity i mistyfikacje budują społeczeństwo, a społeczeństwo w kolejnych pokoleniach – na różne sposoby – wzmacnia te mity i swoje bezkrytyczne do nich nastawienie.

Wyraziście to zagadnienie ukazane jest we wstępie do „Szkiców antyspołecznych” wydanych w 1997 r.: „Mądrość opinii publicznej nie polega na takiej czy innej treści, lecz na związku tej treści z interesem narodowym. Jeśli naród nie ma szans wygrać wojny, opinia publiczna powinna dopuszczać pacyfizm i kolaborację. Jeśli szanse zwycięstwa rosną, powinna skłaniać się do wojowniczości. Taką logiką kieruje się opinia publiczna w krajach kulturalnych, i całkiem przeciwną w Polsce”. I choć nie pada tutaj wprost przykład powstania warszawskiego, myśliciel wspomina, że Francuzi, gdy alianci byli odpowiednio blisko, „zrobili powstanie w Paryżu, zabezpieczywszy się uprzednio na wszystkie strony, i pilnie bacząc, aby jakieś szyby nie wyleciały z okien, bo szkło było drogie”.

W tak zarysowanej koncepcji rysuje się interesujący wątek natury ogólnej: to sprawa wielu sprzeczności w życiu III

Rzeczypospolitej, jakich doświadczamy i dziś. To Łagowski umożliwia postawienie pytania o to, dlaczego – chyba coraz częściej – pojawia się rozczarowanie rozziwem między politycznymi deklaracjami a „codzienną praktyką polityczności”. Jednym zdaniem: skąd problem, który nieco banalnie da się wyrazić w przekonaniu, że „prawica nie jest prawicą”, „lewica nie jest lewicą” i że spór na ten temat przy obecnym podejściu do tych (i wielu innych)

Mądrość opinii publicznej nie polega na takiej czy innej treści, lecz na związku tej treści z interesem narodowym. Jeśli naród nie ma szans wygrać wojny, opinia publiczna powinna dopuszczać pacyfizm i kolaborację

pojęć w ogóle mało znaczy. Warto postawić też pytanie, skąd schizofreniczność rodzimej polityki gospodarczej, która z jednej strony odwołuje się do „społecznej gospodarki rynkowej”, z drugiej realizuje interesy neokolonialnych hegemonów na naszym rynku, z trzeciej zapewnia nieformalne przepływy kapitału między światem polityki (w tym administracji) a światem biznesu. A najrealniej w świecie jest gospodarką drenażu polskich pracy i kapitału.

Odpowiedzi Łagowskiego bazują przede wszystkim na uznaniu zmistyfikowania polskiej rzeczywistości, w której używane

terminy nie odpowiadają faktycznej treści pojęć, instytucji, zjawisk. Służą przede wszystkim walce w polach zmitologizowanych: socjaldemokratyczne elementy doktryny w partii „X” sytuują ją przecież niekiedy bardziej na lewo niż nominalnie lewicowe ugrupowanie parlamentarne. Postromantyczna, patriotyczna tradycja lewicy niepodległościowej została w większości przejęta przez prawicę, a młoda lewica piętnowała ją długo jako „prawicowy ciemnogród”. Liberalizm gospodarczy przez dekady III RP stanowił wygodny parawan dla polityki dekapitalizacji rodzimej gospodarki. Patronem i sędzią młodej lewicy przez długie lata była „Gazeta Wyborcza”, tytuł bardzo mocno wspierający terapię szokową i od zawsze nastawiony na opiewanie interesów beneficjentów transformacji. Przykłady można mnożyć, potwierdzają one trafność tezy profesora o rozziwie między rodzimą rzeczywistością a nadrzeczywistością.

Przemysław Łagowski

Nieoczywistość konserwatywnego liberalizmu Łagowskiego, jego biografia intelektualna sprawiły, że dla większości prawicy jest on kimś obcym. Fakt, że w III Rzeczypospolitej znaczna część jego publicystyki to felietony w „Przeglądzie”, też niczego w tej materii nie ułatwiał. Dla wielu niestety, co jest mocno nieuczciwe intelektualnie, wskazanie kilku wybranych wątków z jego publicystyki (kwestia lustracji, zagadnienia polsko-rosyjskie) stwarza możliwość deprecjacji całości myśli profesora. A szkoda, bo jestem przekonany, że po latach to on będzie jednym z najciekawszych świadków swoich/naszycy czasów.

W odróżnieniu od wielu autor „Pochwały politycznej bierności” widzi polskie

schizofrenie, dostrzega ich ciężar i ich nieoczywiste dla wielu konsekwencje. Jak sam przyznawał w przywoływanym wyżej wywiadzie dla „Pressji”: „Po lewej stronie [także] nie dostrzegam realizmu, dlatego też podział na lewicę i prawicę uważam za drugorzędny, wręcz nieważny. Podział na romantyzm i realizm nie pokrywa się zatem z politycznym podziałem na prawicę i lewicę”.

Być może właśnie problem z wyznaczeniem realnych linii podziałów i konfliktów uświadamia całą dziwaczność III Rzeczypospolitej, w której nigdy nie do końca wiadomo, kto jest kim i co oznaczają

terminy. A to dlatego, że polityczność waha się między sloganami, wielkimi eksperymentami społeczno-gospodarczymi, próbami zadośćuczynienia wyobrażeniom i pragnieniom publiki oraz bardzo przyziemnymi interesami kompradorskich elit, której uznają jedynie realność gromadzonych przez siebie zasobów i wpływów.

Być może dopiero polityczne rozstanie z pokoleniami, które pierwsze spory toczyły jeszcze w czasach Polski Ludowej, umożliwi „postawienie na nogach” III RP. Ale szczerze wątpię, czy będzie to możliwe bez przemyślenia Łagowskiego.

Budżety obywatelskie mało obywatelskie



STEFAN SĘKOWSKI

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”,
dziennikarz „Gościa Niedzielnego”

W demokracji partycypacyjnej w Polsce brakuje... partycypacji. Przeradza się ona w plebiscyt, na co wydać „kieszonkowe” dane mieszkańcom.

W Polsce nastała moda na budżety obywatelskie. Kolejne gminy (już ponad 80 miast) przyjmują to rozwiązanie, budżet w wielu miejscach stał się tematem kampanii wyborczej, a kandydaci, zwłaszcza opozycyjni, domagają się zwiększenia udziału środków przeznaczonych na BO w ogólnych finansach gminy. Warto więc się przyjrzeć, jak wygląda realizacja tej idei w praktyce.

Budżet obywatelski (zwany także czasem partycypacyjnym) ma za zadanie zwiększenie wpływu mieszkańców na wykorzystanie samorządowego budżetu. Nie ma w Polsce jednolitej formuły – każda chętna gmina realizuje go wedle własnego pomysłu. Można jednak wskazać pewne podobieństwa między poszczególnymi budżetami. Jednym z nich jest niski udział środków przeznaczonych na BO w całym budżecie, a także wydatków inwestycyjnych samorządu. Rekord należy do małopolskiej gminy Kęty, która przeznaczyła na BO... niecałe 4 proc. swego budżetu. Jak wynika z raportu Dariusza Kraszewskiego i Karola Mojkwoskiego z Fundacji

Batorego „Budżet obywatelski w Polsce”, większość gmin, w których wykorzystuje się to rozwiązanie, przeznacza na BO 0,5–1 proc. swych pieniędzy i raptem kilka procent całego budżetu inwestycyjnego. Ma to swoje konsekwencje – w efekcie bowiem z tych środków można pokryć niewielkie wydatki. Ot w sam raz, by mieszkańcy „mogli trochę zaszaleć”, jak paternalistycznie ujął to prezydent Kołobrzegu.

Deficyt partycypacji

Paternalizm władz samorządowych widoczny jest także w innych elementach BO. Objawia się np. chęcią posiadania kontroli nad każdym kolejnym etapem procesu decyzyjnego. Oparty na zasadach konsultacji społecznych zakłada, że decyzje podjęte przez mieszkańców będą wiążące przy ustalaniu budżetu samorządu, choć w praktyce bywa z tym różnie. Jak np. w przypadku pilotażowego uchwalania BO w 2013 r. w lubelskiej dzielnicy Rury, której Rada, wbrew wcześniejszym zapo-

wiedziom, zdecydowała się nie uwzględnić wyników i przeznaczyła swoją rezerwę celową na projekt, który zajął w głosowaniu dopiero piąte miejsce.

Mieszkańców zachęca się do wypełniania przygotowanych wcześniej formularzy, ewentualnie zbierania odpowiedniej liczby podpisów, jednak w większości przypadków nie daje się przestrzeni do dyskusji nad nimi. W Sopocie, który był w Polsce jednym z prekursorów BO, odbywają się dwie tury spotkań z mieszkańcami, które służą właściwie tylko informacji dotyczących sposobu wypełniania formularzy. Jak pisze Wojciech Kłębowski z Instytutu Obywatelskiego w broszurze „Budżet partycypacyjny. Krótka instrukcja obsługi”, „spotkania nie są [...] okazją do rozmowy o polityce miejskiej, wręcz przeciwnie – ujawnienie istniejących konfliktów pomiędzy zaangażowanymi stronami i wyrażenie odmiennych wizji miasta nie wydaje się ich celem”.

Podobne wrażenie odniosłem z własnego, lubelskiego podwórka, gdzie spotkania z mieszkańcami ograniczały się do elementu informacyjnego (skądinąd bardzo ważnego) oraz „maratonu pisania wniosków”. Co więcej, samo zgłoszenie projektów nie oznacza ich poddania pod głosowanie. I nie chodzi tu tylko o odsiewanie przez ekspertów tych pomysłów, które z przyczyn prawnych bądź finansowych nie są możliwe do zrealizowania, lecz także o to, że często ktoś „na górze” dokonuje arbitralnej preselekcji.

Z drugiej strony władze gminne kładą spory nacisk na powszechność głosowania. Zdarzają się co prawda śmieszne wyjątki (np. gmina Kargowa, w której głosowało raptem 90 osób, „w wyznaczonym czasie w Sali posiedzeń Urzędu Miejskiego, pokój nr 20”), jednak w bardzo wielu gminach

możliwe jest głosowanie przez Internet. W efekcie w plebiscycie często bierze udział spory odsetek mieszkańców (np. w Białymstoku 50 tys. z 300 tys.). Ma to jednak swoje minusy, jak choćby oddawanie mało przemyślanych głosów lub też głosowanie za inne osoby (np. „na kilka PESEL-ów” przez jedną osobę, co miało miejsce w Lublinie), także brak obowiązku osobistego stawienia się przy urnie powoduje innego rodzaju nadużycia.

Lubelska Spółdzielnia Mieszkaniowa Czuby rozprowadzała wśród mieszkańców wypełnione karty do głosowania – wpisując swoje numery PESEL, mogli zagłosować na wskazane przez zarząd projekty

Przykładowo lubelska Spółdzielnia Mieszkaniowa Czuby rozprowadzała wśród mieszkańców wypełnione karty do głosowania – wpisując swoje numery PESEL, mogli zagłosować na wskazane przez zarząd projekty, podobnie w pewnej szkole w Krakowie nauczyciele rozdawali rodzicom karty, dzięki którym mogli zagłosować za zakupem pomocy dydaktycznych do placówki. Tego typu podejście jest sprzeczne z założeniami budżetu obywatelskiego i promuje „baranie” głosowanie za wskazanymi przez innych projektami bez przynajmniej zapoznania się z innymi pomysłami.

Jak to robią w Porto Allegre

Zupełnie inaczej wygląda realizacja budżetów obywatelskich w ich ojczyźnie – brazylijskim mieście Porto Allegre, które zafundowało sobie BO w 1989 r. (choć i tam władzom miasta udało się w połowie lat 2000. w pewnym zakresie ograniczyć autonomię mieszkańców). Już fakt, iż tam na budżet obywatelski przeznaczają się rokrocznie ok. 1/5 budżetu miasta,

Dzięki decyzjom podjętym w ramach BO przez mieszkańców Porto Allegre odsetek domów, które miały dostęp do bieżącej wody, wzrósł z 78 proc. w 1989 do 99 proc. w 1999 r., do kanalizacji zaś w tym samym okresie z 46 do 83 proc.

wskazuje na jakościową różnicę. Ogólnie rzecz biorąc, budżet obywatelski ustalają wybrani przez mieszkańców przedstawiciele obdarzeni mandatem imperatywnym, który wykonują na podstawie instrukcji wypracowanych podczas spotkań dzielnicowych i tematycznych. Mogą w nich uczestniczyć wszyscy mieszkańcy, którzy przechodzą szkolenie dotyczące budżetowania samorządu; nad każdym z etapów od strony merytorycznej czuwają urzędnicy i prawnicy.

Pojawia się pytanie o sens de facto dublowania roli władz przedstawicielskich miasta – zwłaszcza, że i tu ostatecznie decyzje podejmują reprezentanci miesz-

kańców wchodzący w skład rady budżetu partycypacyjnego. Odpowiedzią może być specyficzna sytuacja w brazylijskim samorządzie związana z dużą nieufnością wobec elit politycznych (zresztą – czy tak bardzo specyficzna?). Ale nie tylko: władze miejskie odpowiedzialne nie tylko za budżet inwestycyjny mają w instytucji budżetu partycypacyjnego wsparcie przy wskazywaniu celów, jakich mieszkańcy najbardziej się domagają. Efekty reformy pokazują, że mieszkańcy często w przeszłości wskazywali na te obszary, o których władze obieralne myślały w niewielkim stopniu. Jak wynika z badania przeprowadzonego przez Bank Światowy, dzięki decyzjom podjętym przez mieszkańców odsetek domów, które miały dostęp do bieżącej wody, wzrósł z 78 proc. w 1989 do 99 proc. w 1999 r., do kanalizacji zaś w tym samym okresie z 46 do 83 proc. (i to mimo że w tym czasie miasto się przecież rozrastało). Z drugiej strony należy pamiętać o stronie wydatkowej: miasto musiało się ze względu na rosnące inwestycje bardzo zadłużyć.

Unikać efekciarstwa

Przykład Porto Allegre pokazuje, że demokracja partycypacyjna, której narzędziem jest uchwalanie budżetu obywatelskiego, może być uzupełnieniem demokracji reprezentatywnej, zwłaszcza wtedy, gdy elita polityczna odrywa się od swojej społecznej „bazy”, co dzieje się w wielu samorządach. Warto jednak nie tylko patrzeć na nią jako na narzędzie korygujące „normalną” sytuację, w której o wszystkim decydują wybrani przez nas przedstawiciele, lecz także jako na fundament podejmowania decyzji.

By budżet obywatelski wypełniał swoje funkcje, musi być w miarę dobrze fi-

nansowo wyposażony, powinien mieć również wbudowane mechanizmy utrudniające manipulację „wolą powszechną”. Jak największa liczba mieszkańców musi mieć możliwość wzięcia udziału w kolejnych etapach procesu decyzyjnego (co nie znaczy, że ostatecznie weźmie w nim udział!), którego ważnym elementem jest także deliberacja, wspólne ucieranie się stanowisk w poszukiwaniu rozwiązań, które będą brały pod uwagę zarówno lokalne potrzeby, jak i wspólne interesy całej zbiorowości. W budżecie obywatelskim nie jest ważne, ile projektów zostanie zgłoszonych i ile osób później zagłosuje, ale to, czy, mając do dyspozycji odpowiednią przestrzeń, mieszkańcy mogą wspólnie ustalić, na czym im najbardziej zależy.

Podstawowym grzechem polskich budżetów obywatelskich jest założenie,

iż najważniejszym elementem procesu decyzyjnego jest głosowanie – tymczasem decydowanie zaczyna się już na poziomie spotkań mieszkańców (nie jest moim celem wskazywanie lokalnym społecznościom, jak one powinny być organizowane). W efekcie demokracja partycypacyjna, której ważnym elementem powinna być deliberacja, przeradza się w pusty plebiscyt, wyścig o jak największą liczbę głosów bez brania pod uwagę potrzeb całej społeczności. To się może odbijać na wynikach i kończyć np. „zgarnianiem” całej puli przez większe i lepiej zorganizowane dzielnice.

I to się w końcu może odbić na całym projekcie – jeśli przy uchwalaniu BO będziemy nadal stawiać na efekciarstwo, a nie na realną aktywizację społeczną, ta idea może skończyć jako krótkotrwały eksperyment.

Bezpieczni od wszelkiego zamętu



PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI

Redaktor „Nowej Konfederacji”,
publicysta tygodnika „wSieci”

Kilka uwag w sprawie Teatru Narodowego za dyrekcji Jana Englerta albo nawet esej osobisty.

Dziś raczej rzadko słyszy się krytykę TN, mało też analiz w jego sprawie, a przecież mija 250 lat od powołania tej sceny i zarazem polskiego teatru publicznego. W opinii wielu nawet wątpiących w taki, a nie inny model prowadzenia tej sceny przez Jana Englerta to jedno z niewielu miejsc, w których panuje jeszcze hierarchiczny porządek sztuki albo, jak kto woli, etos oferujący pewnego rodzaju gwarancję. Tego, że nikt tu ze sceny nikogo nie obrazi, zatem widz może się odwzajemnić tym samym: zapewniony, iż danego wieczora udaje się do teatru, i tylko do teatru, dostaje w cenie drogiego biletu święty spokój. Niejeden widz, jestem pewien, powiedziałby dziś, że to wystarczający powód, by traktować Narodowy w zupełnie innych kategoriach. Jako odizolowaną wyspę na bogatej teatralnej mapie. Coś w tym jest. Sam, chadzając na premiery do TN, nastawiam się inaczej, bo wiem, że tu odpocznę od konieczności zajmowania stanowisk w nadarzających się okazjach, gdy spektakl służy jako pretekst do większej hucpy. Tym bardziej że to przeważnie hucpy efemeryczne, po chwili i tak po-

zostaje ogołocone przedstawienie: z kontekstów, artystycznych wojenek i komentarzy – na szczęście. Nikt chyba z historyków polskiego teatru nie postawi tezy, że to dobrze, iż „Dziady” w reżyserii Kazimierza Dejmka z 1967 r. zrealizowane w Narodowym wszyscy pamiętamy wyłącznie w kontekście Marca’68 (sama zapowiedź władz PZPR zdjęcia z afisza dzieła Mickiewicza wywołała brzemienne w skutki protesty studenckie). Nie mamy telewizyjnego zapisu tego tytułu, są zdjęcia i foniczne świadectwa fragmentów. Ci szczęśliwcy, którym udało się cudem dostać na jeden z jedenastu pokazów, przyznają bez bicia, że mają ogromny kłopot z oceną, jaki to był spektakl. W pamięci wyrwały się wersy Wielkiej Improwizacji Gustawa Holoubka, jednego z największych osiągnięć wielkiego aktora. Ale czy całość mogła podlegać rzetelnej weryfikacji już wówczas? Świadectwa z tamtego czasu są nieprzejrzyste, na każdy aspekt interpretacji Dejmka nałożyły się czyjeś interesy, obawy i przede wszystkim – niezdolność wyrwania się z łap groźnie pędzących wydarzeń. Historia pożarła teatr,

i to Teatr Narodowy. Jakże były „Dziady” Dejmka oprócz tego, że były patriotyczne – jeśli w ogóle tego przymiotnika warto użyć; być może sam kontekst kazał go wówczas tak odczytywać? Nawet na to pytanie niezwykle trudno znaleźć dziś zadowalającą odpowiedź.

Jednak to rzecz jasna przypadek osobny, wyjątkowa skala. Niejeden powiedziałby: tak musiało być. Teatr złożył się na ołtarzu czegoś większego, czegoś, co przerastało jego samego. Przecież to zdarzenie musiało pomieścić wszystkich – widzów najmniej. Bo dotyczyło każdego z osobna; kto wie, może w tamtym momencie teatr pomieścił właśnie tych, którzy na co dzień byli od niego oddaleni? To trochę tak, jak w niektórych momentach naszych dziejów bywało z Kościołem (zresztą „Teatr stworzył Bóg dla tych, którym nie wystarcza Kościół” – zawyrokował Juliusz Osterwa...). Za trzy lata 50. rocznica premiery Dejmkowych „Dziadów”, wyśmienita okazja, by motto Osterwy odnieść do tamtych dni.

Jednak dziś jest inaczej, diametralnie inaczej. Nie wspominam Marca’68 i roli w nim TN przypadkowo. Jan Englert, dyrektor narodowej sceny od 2003 r., już bodaj w kilku niedawnych wywiadach (w tym w rozmowie ze mną z lipca tego roku opublikowanej w tygodniku „wSieci”, nr 31/2014) wspominał, że teatr publiczny/narodowy stracił najwięcej, właśnie gdy dawał się zaprzęgnąć w służbę polityce. Na chwilę stawał się motorem zdarzeń, by po rozpalonej euforii przepaść na kilkadziesiąt lat, jak się stało po rewolucji francuskiej. Ale nie trzeba szukać tak daleko. Englert z rozżaleniem wspomina również skutki aktorskiego bojkotu telewizji w stanie wojennym, w wywiadzie przeprowadzonym przez Jacka Cieślaka z „Rzeczpospolitej” (nr 243/2014) przy-

tomnie zauważa, że wówczas „straciliśmy co najmniej jedno pokolenie aktorów i widzów”. Nie wiem, co Englert powiedziałby o „Dziadach” Dejmka, jednak jako znany w środowisku racjonalista i zdystansowany obserwator na pewno nie postrzegalby tego jednoznacznie. Śmiem twierdzić, że rozpatrywałby poszczególne skutki dla TN, a to już zupełnie inna sprawa.

System stworzony przez Englerta długo, jakies siedem sezonów, trzymał się znakomicie

Bo Englert – właśnie – chce patrzeć z dystansu. Jest w tym pewna ostrożność zarówno w ocenie rzeczywistości, jak i w jej kreowaniu. Wszystko tu działa wedle idealnego mechanizmu przeznaczonego Narodowemu: etos, warsztat, rzemiosło. I tylko na tym się skupiamy. To chyba trzy główne słowa wytrychy, które stały się dla Englerta niemal scenicznymi przykazaniami, których złamanie narazi TN na rozmycie się w zalewie artystycznych podróbek.

Nieraz zastanawiałem się, z czego wynika ta Englertowa wyliczanka, właściwie już przy każdej okazji powtarzana do znudzenia. Czy to dobry sposób, aby realnie zabezpieczyć najważniejszą polską scenę przed postrzeganiem jej przez pryzmat polityki, doraźności, środowiskowych rozgrywek? A może to bezwarunkowy odruch nie wyłącznie po doświadczeniach z wielkiej historii, lecz także po tych mniejszych, na które narażano TN w ostatniej dekadzie, próbując zrobić z niego arenę dla bieżących zapotrzebowań?

Englert dobrze pamięta, jak potraktowano jego wielkiego poprzednika na tym stanowisku, Jerzego Grzegorzewskiego. Po roku 1997 r., po ponownym otwarciu Teatru Narodowego (jedenaście lat odbudowywanego po pożarze z 1985 r.), artysta obejmował scenę Bogusławskiego w atmosferze niepewności. Pojawiały się głosy, że twórca teatru wybitnie autorskiego i hermetycznie intelektualnego nie poddał misji pogodzenia licznych gustów i oczekiwań, jakie wyrażano w kontekście narodowej sceny. Że nie będzie potrafił pójść na kompromisy. Co jednak rozumiano pod pojęciem kompromisu, powoli acz systematycznie stawało się jasne podczas kolejnych sezonów proponowanych przez Grzegorzewskiego. Rozpoczął się dziwaczny etap pouczania, co ma oznaczać TN, czemu służyć, a może przede wszystkim: komu? Nie chcę powracać do znanych diagnoz i rozdrapywać ran, ale może warto przypomnieć, że lata zwłaszcza 2000–2005 to wyjątkowy okres, gdy systematyczną walkę z Grzegorzewskim prowadziła „Gazeta Wyborcza”, próbując załatwić sobie na narodowej scenie jeszcze jedno poletko dla własnych idei. Dyrektor powoli się wycofywał, przeczuwając chyba, że teatr nie jest enklawą (dla niego miał nią być Dom Wyspiańskiego), w której w imię sztuki uda się pogodzić wszystkich. Śmierć artysty w 2005 r. kojarzy się dziś z fatalną atmosferą publicystycznej walki i zaszczucia wyjątkowego twórcy. I tak już będzie się kojarzyć, mimo że cała dyrekcja Grzegorzewskiego to przecież okres na tyle bogaty, iż nie da się go zamknąć tylko w regułach wyznaczonych przez tamten, od początku nierówny i niefair prowadzony, spór. I choć co do tego, że Teatr Narodowy w latach 1997–2005 był zjawiskiem wy-

jątkowym, zgadza się już dziś wielu, to wiedza o tym przebija się niemrawo...

Fenomen Grzegorzewskiego Jan Englert rozumie doskonale. Gdy we wrześniu 2003 r. objął TN, deklarował, że warunkiem jego dyrekcji jest dalsza obecność w nim tego twórcy jako stałego reżysera. Rzadko dzisiaj o tym się mówi, lecz wówczas był to wyraźny gest, niemal opowiedzenie się po stronie trwającej jeszcze batalii. Chociaż już w tamtym momencie Englert chyba zaczyna definiować narodową scenę nieco inaczej. Ostrożniej. Rezygnuje z budowania repertuarowej linii i stara się rozszerzyć wizerunek Narodowego w stronę podkreślanego dziś przez siebie eklektyzmu. W końcu udaje mu się zaprosić do regularnej współpracy Jerzego Jarockiego, który zrealizuje za jego dyrekcji pięć fenomenalnych, ostatnich swoich spektakli. Zresztą sprowadzenie Jarockiego ze Starego Teatru do Warszawy (po licznych perturbacjach) uchodzi dziś za historyczny wręcz sukces Englerta. Ale to nie wszystko. Pojawiają się w Narodowym nazwiska zarówno z pogranicza teatru środka, np. Agnieszka Glińska, jak i przedstawiciele tzw. nowego teatru, choćby Agnieszka Olsten czy Michał Żadara. Do zespołu wchodzi m.in. Jan Frycz i Janusz Gajos, zapewniając komercyjny i frekwencyjny sukces. Zaskoczeniem są kolejne spektakle coraz bardziej kontrowersyjnej Mai Kleczewskiej, z którą Englert dogaduje się zaskakująco dobrze, przynajmniej przy pierwszych dwóch tytułach, w których sam udziela się aktorsko. Teatr tradycyjny, żywcem wyjęty z Comédie-Française, zapewnia Jacques Lassalle.

Po czterech, pięciu latach dyrekcji Englerta staje się jasne, że oto nowy przewodnik TN chce łączyć pokolenia i za wszelką cenę unaoczniać widzom to, co

wspólne na polskich scenach. Warunek był jeden: warsztat i szacunek dla wystawianej literatury. Eksperymenty czy obyczajowe przekroczenia – tak, ale w rozsądnych proporcjach.

System stworzony przez Englerta długo, jakieś siedem sezonów, trzymał się znakomicie; to, co ewidentnie się nie udawało (a porażek było niewiele), rekompensowała obecność Jarockiego, którego przedstawienia zapewniały poklask komentatorów z różnych stron teatralnego podwórka. Były intelektualną pożywką dla dyskusji, które przedłużały się na następne sezony. Dziś Englert zresztą przyznaje, że Jarocki w zamierzeniu, tak perfekcyjnie zrealizowanym, miał być filarem utrzymującym cały wizerunek Narodowego.

Na razie zmierzamy do Teatru Narodowego, by tylko bezpiecznie się umościć w wygodnych fotelach. Obyśmy nie zasnęli

Z perspektywy czasu pojmuję plan Englerta, przynajmniej w latach 2003–2010, jako precyzyjnie wymierzone balansowanie. To był realny eklektyzm. Ale nigdy nie dostrzegłem w repertuarze TN z tamtego okresu jakichś prób przypodobania się oficjalnie panującym nurtom. A takie już przecież ochnocho panowały. Gdy premiery dawali Monika Strzępka czy Jan Klata (do dziś nie zagościli na Scenie Bogusławskiego), Englert prowokował na swoich prawach. Pamiętam fenomenalne sezony 2008/2009 i 2009/2010: to wtedy Lassalle pokazuje

ostentacyjnie tradycyjną, ale piekielnie atrakcyjną „Umowę” Marivaux, Jarocki zaskakujące odczytanie „Tanga” Mrożka, a Iwan Wyrypajew formalny teatr, którego właściwie nie znaleźliśmy. Z nowego nurtu Englert znów wybiera Kleczewską, jednak niezwykle wymagającą – jeśli reprezentowała tzw. nowy teatr, to było to na antypodach tego, co wówczas się w nim działo.

Tak było, a potem coś się jednak zmieniło...

Nie mam pojęcia, co dokładnie, przyczyn jest wiele, ale skutki widać natychmiast. W 2012 r. umarł Jarocki, nie zdążył przygotować zapowiadanego opus magnum, w którym teatr miał się przeglądać w historii XX wieku... Dyskusje o tym, co na scenie wolno, a czego nie, też jakoś wygasły; buntownicy sprzed kilku sezonów stali się przewidywalnymi epigonami – głównie samych siebie. Teatr Kleczewskiej, w którym można było pokładać nadzieje, stał się seansem traktującym aktorów jak uczestników bezwstydnego eksperymentu (wystawienie „Orestei” w TN w 2012 r. okazało się katastrofą z dodatkiem kompromitujących reżyserkę metod pracy). Z kolei spektakle Agnieszki Glińskiej, dotychczas zaskakujące zwłaszcza jako świadectwa świetnie przeczytanej literatury, pracy zespołowej i obsadowych strzałów w dziesiątkę, powędrowały w stronę rozrywki wedle nowej recepty: to widz ma się śmiać z tego, że wielkie dzieła, choćby Czechowa, trudno przystają do dzisiejszej rzeczywistości. A może w ogóle są niezrozumiałe, te wszystkie postaci zaś to jakiś swoisty kabaret i tak należy je pokazywać.

Englertowi zabrakło budulca... Dwa tygodnie temu Glińska wystawiła długo wyczekiwaną „Iwonę, księżniczkę Burghunda” Gombrowicza, nieopacznie dając

definicję zarówno swojego teatru ostatniego czasu, jak i etapu, w którym znalazł się Narodowy. To spektakl, który ma się podobać, więcej: on musi się podobać, zresztą wedle strategii, którą reżyserka przyjęła już także w kierowanym przez siebie, oddalonym o kilometr od TN, Teatrze Studio. Tak, wiem, że można powiedzieć, iż Gombrowicz budował „Iwonę” w jakimś stopniu na schemacie farsowym. Ale nie wiedziałem, że można tu jeszcze dorzucić i komedię omyłek, i komedię obyczajową z naciskiem na przekłamanie życia wyższych sfer. Trochę to jak na Glińską zbyt proste. Mimo że Jerzy Radziwiłowicz jako król Ignacy pokazuje się w najlepszej formie pewnie od czasu swoich ról w spektaklach Lassalle’a, to nie mogę pozbyć się wrażenia, iż oglądam popis spreparowany na potrzeby odróżnienia się od łatwych reżyserskich interpretacji. Im bardziej Radziwiłowicz stara się pozostać w świecie absurdu, tym bardziej nie pasuje do całej układanki tego przedstawienia, ułożonej z elementów, wśród których każdy znajdzie coś dla siebie. Glińska przed premierą deklarowała, że jej „Iwona” to opowieść o obecności Innego w świetnie zhierarchizowanej rzeczywistości. Na scenie widać jedynie satyrę na tę rzeczywistość. Co prawda wystarczyło to na niemal stuprocentowy standing ovation po pierwszym pokazie, lecz nie mam pewności, czy konieczny do opowiedzenia tej historii był Gombrowicz.

Tak w Narodowym ostatnio bywa. Coraz częściej z premier wychodzę z poczuciem dobrze spędzonego wieczoru. Natychmiast nasuwa mi się skojarzenie z kolacją w wytwornej restauracji, do której warto pójść, by przekonać się, że tak po prostu czasem wypada (świetnym przykładem jest tutaj „Milczenie o Hiobie”

w reżyserii Piotra Cieplaka czy „Królowa Margot” Grzegorza Wiśniewskiego). Ale czy przez to staję się innym człowiekiem? I czy rzeczywiście następnego dnia zostaje we mnie coś wyjątkowego?

Jan Englert ma – w moim przekonaniu – poważny problem. Jako się rzekło, filarów dla TN już nie ma. Trudno przykrywać zatem porażki. Jednak co ważniejsze, nie ma dyskusji nad tym, w którą stronę razem idziemy (niekoniecznie w którą stronę musimy iść...). Czy mówię nazbyt górnolotnie? Chyba nie... Mówię tak, bo w kontekście sceny narodowej trzeba rozmawiać przede wszystkim o tym, w jaki sposób z teatrem razem podążamy (nie co, lecz jak – to zresztą, sam dyrektor przyznaje, jest o wiele ważniejsze). Englert ma uformowany, w dużej mierze przez siebie, zespół; właściwie wszyscy młodzi aktorzy to jego wychowankowie z Akademii Teatralnej. Ma również ugruntowaną pozycję i niebawem zasługi, na których może budować nowy kapitał. Choć jasne, sytuacja wydaje się o tyle skomplikowana, że talentów w naszym teatrze nie widać (ile to lat minęło od debiutu Grzegorza Jarzyny? – pytam już retorycznie), z kolei wypróbowani już, także w TN, młodzi jak choćby Michał Zadara, być może zbyt szybko znaleźli się w głównym nurcie (to mógł być błąd Englerta, że pozwolił im zgłosić akces do mainstreamu za szybko, z wysoką taryfą ulgową) i teraz odcinają kupony od tego, co potrafią, a co wszyscy już znają. Trudno z takiej pozycji zdobyć się na coś więcej: Zadara otrzymał właśnie przyznawaną przez miesięcznik „Teatr” Nagrodę im. Konrada Swinarskiego sezonu 2013/2014 za najlepszą reżyserię – „Zbójców” Schillera w Narodowym. Z tym że równie dobrze mógł ją otrzymać i wcześniej; trochę wygląda to tak, jakby wyróż-

niono reżysera za to, że dostąpił najwyższych progów i został namaszczone przez samo miejsce, w którym wystawia...

Jestem daleki od proponowania jakichś misji, wpychania Englertowi na siłę kaganka oświaty, którym oświeci niejasne ścieżki polskiego teatru. Ale ryzyko dyskusji przeważnie się opłaca (i nie mówię tu o ryzyku, jakim była inscenizacja „Lodu” Konstantina Bogomołowa z tego roku, z której, jak głosi anegdota, w tę pędy uciekał minister Radosław Sikorski). Tym bardziej że Englertowi już nic nie grozi, zbyt wiele już za jego dyrekcji się wydarzyło, by dało się to pominąć. Pułapka

ideologicznych bitew z czasów Grzegorzewskiego może się powtórzyć, jednak też Englert ze swoim doświadczeniem rozegrałby je, ustawiając przeciwników w odpowiednim szeregu. Podejrzewam, że miałyby spore poparcie, by tym razem wyznaczać reguły rozgrywki. A polityka już raczej też takiego figla jak sześćioletniej dyrekcji Dejmką nie spleta...

Może więc w 250. rocznicę założenia narodowej sceny warto się zastanowić nad najnowszą epoką w teatrze. TN nie będzie już Domem Wyspiańskiego, bo to mógł osiągnąć Grzegorzewski. Ale czym jeszcze będzie?

Na razie zmierzamy do niego, by
tylko bezpiecznie się umościć w wygodnych
fotelach. Obyśmy nie zasnęli.

Wesprzyj nas

Jeśli nas cenisz – wesprzyj nas!

Podstawą naszej działalności są stałe, comiesięczne darowizny. Nawet jeśli są niewielkie, dają poczucie stabilności i pozwalają planować aktywność.

Darowizny prosimy kierować na rachunek bankowy wydawcy „Nowej Konfederacji”, Fundacji Nowa Rzeczpospolita: **09 1560 0013 2376 9529 1000 0001** (Getin Bank). W tytule przelewów najlepiej wpisać: „darowizna”. Jeśli zamierzają Państwo wspierać nas stale, bardzo prosimy o tytuł przelewu: „stała darowizna”.

Dlaczego warto nas wesprzeć? Przynajmniej z pięciu powodów:

1. „NK” jest próbą **stworzenia niskokosztowej poważnej alternatywy dla upadających – finansowo i intelektualnie – mediów głównego nurtu.** Stąd także nowy model pozyskiwania funduszy – poprzez mecenat obywatelski

2. **dostajemy wiele sygnałów, że udaje nam się realizować założone cele:** poważnie debatować o państwie i polityce, transmitować do szerokiej publiczności ważne idee naukowe i eksperckie, aktualizować polską tradycję republikańską. Sygnały te płyną zwłaszcza od przedstawicieli inteligencji

3. począwszy od października 2013, **udaje nam się co tydzień publikować nowy numer „NK”, poruszając tematy tyleż ważne, ile nieobecne w debacie,** jak np. neokolonizacja Polski, przebudowa globalnego ładu politycznego czy władza sondaży

4. **mamy wpływ na kształtowanie opinii, zwłaszcza elit.** Czyta nas średnio 4,5 tys. osób tygodniowo, regularnie występujemy w telewizji, inspirujemy inne media do podejmowania wprowadzanych przez nas tematów, nasze teksty są chętnie przedrukowywane przez popularne portale

5. **darowizny na rzecz fundacji są w Polsce (art. 16 ustawy o fundacjach) zwolnione z podatku. Co więcej, podlegają odliczeniu od podatku** zarówno przez osoby fizyczne, jak i prawne, zgodnie z przepisami ustaw o podatku dochodowym od osób fizycznych i prawnych.

O nas

„Nowa Konfederacja” to pierwszy w Polsce internetowy tygodnik idei. Koncentrujemy się na tematyce politycznej o znaczeniu strategicznym. „NK” to medium misyjne, tworzone przez obywateli – dla obywateli. Jako pierwsi w Polsce działamy profesjonalnie wyłącznie dzięki wsparciu Darczyńców.

Stawiamy sobie **trzy cele główne.**

Po pierwsze, chcemy tworzyć miejsce poważnej debaty o państwie i polityce.

Dziś takiego miejsca w Polsce brakuje. Wskutek postępujących procesów tabloidyzacji oraz uzależnienia mediów opiniotwórczych od partii i wielkiego kapitału, brak ten staje się coraz bardziej dotkliwy.

Stąd, w środowisku skupionym dawniej wokół kwartalnika „Rzeczy Wspólne” – poszerzonym po rozstaniu z Fundacją Republikańską w kwietniu 2013 o nowe osoby – powstał pomysł stworzenia internetowego tygodnika idei. Niekomercyjnego i niezależnego medium, wskrzeszającego formułę głębokiej publicystyki. Mającego dostarczać zaawansowanej wiedzy o polityce w przystępnej formie.

Nasz drugi cel to pełnienie roli pośrednika między światem ekspercko-akademickim a medialnym.

Współczesna Polska jest intelektualną półpustynią: dominacja tematów trzeciorzędnych sprawia, że o sprawach istotnych mówi się i dyskutuje rzadko, a jeśli już, to zazwyczaj na niskim poziomie. Tym niemniej, w świecie akademickim i eksperckim rodzą się niekiedy ważne diagnozy i idee. Media głównego nurtu przeważnie je ignorują. „Nowa Konfederacja” – ma je przybliżyć.

Cel trzeci to aktualizacja polskiej tradycji republikańskiej.

Republikanizm przyniósł swego czasu Polsce rozkwit pod każdym względem. Uważamy, że jest wciąż najlepszym sposobem myślenia o polityce – i uprawiania jej. Co więcej, w dobie kryzysu demokracji, jawi się jako zarazem remedium i alternatywa dla liberalizmu. Jednak polska tradycja republikańska została w dużym stopniu zapomniana. Dążymy do jej przypomnienia i dostosowania do wymogów współczesności.

Dlaczego konfederacja? Bo to instytucja esencjonalna dla polskiej tradycji republikańskiej – związek obywateli dążących razem do dobra wspólnego w sytuacji, gdy inne instytucje zawodzą. W naszej historii konfederacje bywały chwalebne (konfederacja warszawska 1573 r., sejmy skonfederowane jako remedium na liberum veto), bywały też zgubne (Targowica). Niemniej, zawsze były potężnym narzędziem obywatelskiego wpływu na politykę.

Dzisiejszy upadek debaty publicznej domaga się nowej konfederacji!

„Nową Konfederację” tworzą

Stali Darczyńcy:

Siedemdziesięciu Pięciu Anonimowych Stałych Darczyńców, Andrzej Dobrowolski, Paweł Gałus, Bartłomiej Kachniarz, Piotr Kubiak, Sławomir Lisiecki, Michał Macierzyński, Jerzy Martini, „mieszkaniec Bytomia”, Marek Nowakowski, Krzysztof Poradzisz, Piotr Woźny, Zbigniew Zadora

Pozostali Darczyńcy:

Stu Siedmiu Anonimowych Darczyńców, Jacek Bartosiak, Piotr Remiszewski. (Lista Darczyńców jest uaktualniana na początku każdego miesiąca)

Redakcja:

Michał Kuź, Bartłomiej Radziejewski (redaktor naczelny), Aleksandra Rybińska, Przemysław Skrzydelski (sekretarz redakcji)

Stali współpracownicy:

Jacek Bartosiak, Michał Beim, Krzysztof Bosak, Tomasz Grzegorz Grosse, Maciej Gurtowski, Bartłomiej Kachniarz, Krzysztof Koehler, Andrzej Maśnica, Rafał Matyja, Anna Mieszczanek, Barbara Molska, Agnieszka Nogal, Tomasz Pichór, Adam Radzimski, Stefan Sękowski, Zbigniew Stawrowski, Tomasz Szatkowski, Stanisław Tyszka, Krzysztof Wołodźko, Piotr Woyke

Grafika (okładki): Piotr Promiński

Administracja stroną internetową, korekta, redakcja stylistyczna:

Przemysław Skrzydelski

Komunikacja internetowa: Przemysław Skrzydelski

Skład: Rafał Siwik

Wydawca: Fundacja Nowa Rzeczpospolita

Kontakt: redakcja@nowakonfederacja.pl

Adres (wyłącznie do korespondencji):

Fundacja Nowa Rzeczpospolita
Al. Solidarności 115, lok. 2, 00-140 Warszawa